Nr. 12 (1160). **Warszawa, 8 (21) Marca 1903 r.** **Rok XXIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy termin przedpłaty.

Najwyższy Manifest.

Z BOŻEJ ŁASKI,

MY, MIKOŁAJ II,

Cesarz i Samowładca Wszechrosyjski,

Król Polski, Wielki Książę Finlandzki

itd. itd. itd.

Wiadomo czynimy wszystkim Naszym wiernym poddanym:

Z woli Opatrzności Bożej, wstąpiwszy na Tron praojców, uczyniliśmy ślub święty w obliczu Najwyższego i w sumieniu Naszem święcie strzedz odwiecznych zasad państwa Rosyjskiego i poświęcić życie Nasze dla ukochanej ojczyzny. W nieustannych troskach o poddanych Naszych, kroczyliśmy drogą ku urzeczywistnieniu dobra narodu w duchu wiekopomnych dzieł Naszych Cesarskich poprzedników, a przedewszystkiem Naszego Niezapomnianego Rodzica.

Bogu Wszechmogącemu podobało się w swych niedocieczonych zrządzeniach przerwać przez śmierć przedwczesną prace monarsze Ukochanego Rodzica Naszego i tem włożyć na Nas święty obowiązek dokonania rozpoczętego przez Niego dzieła utwierdzenia porządku i prawa na ziemi rosyjskiej, zgodnie z wynikającemi potrzebami życia narodowego.

Ku wielkiemu smutkowi Naszemu, bunt, wzniesiony w części przez zakusy, wrogie życiu państwowemu, w części przez rozbudzenie zasad, obcych życiu rosyjskiemu, przeszkadza pracy powszechnej dla poprawy dobrobytu narodowego. Bunt ten, podburzający umysły, odciąga je od pracy produkcyjnej i nierzadko doprowadza do zguby młode siły, drogie sercu Naszemu, a potrzebne ich rodzinom i krajowi.

Żądając od wszystkich wykonawców woli Naszej, tak wyższych, jako też i niższych, surowego sprzeciwiania się wszelkiemu naruszeniu prawidłowego biegu życia narodowego i wierząc w sumienne wykonanie przez wszystkich i każdego ich obowiązków służbowych i społecznych, My, z niezachwianem postanowieniem bez odkładania uczynić zadość dojrzałym potrzebom państwowym, uznaliśmy za dobre:

wzmocnić niezachwiane poszanowanie przez władze, mające związek ze sprawami wiary, zasad tolerancyi religijnej, nakreślonych w prawach zasadniczych państwa rosyjskiego, które, uznając kościół prawosławny za pierwszy i panujący, pozwalają wszystkim poddanym Naszym innych wyznań swobodnie wyznawać swoją religię i odprawiać nabożeństwa według jej obrządku;

w dalszym ciągu wykonywać zarządzenia, skierowane ku poprawie położenia majątkowego duchowieństwa prawosławnego wiejskiego, powiększając owocny udział kapłanów w życiu duchownem i społecznem ich parafij;

w łączności z oczekującemi zadaniami podniesienia gospodarstwa narodowego, skierować działalność instytucyj kredytowych państwowych, a zwłaszcza Banków ziemskich szlacheckiego i włościańskiego, do większego wzmocnienia i rozwoju dobrobytu podstaw zasadniczych rosyjskiego życia wiejskiego: szlachty i włościaństwa;

przeznaczone przez nas prace około rewizyi prawodawstwa w stanie wiejskim, po ich początkowem wykonaniu w porządku, przez nas wskazanym, odesłać na miejsce do dalszego ich opracowania i pogodzenia z miejscowymi warunkami w komitetach gubernialnych, przy bliższym udziale godnych działaczy, posiadających zaufanie ogółu;

za zasadę tych prac uznać nienaruszalność ustroju gminnego posiadania ziemi włościańskiego, wyszukawszy równocześnie sposoby ułatwienia pojedynczym włościanom wystąpienia z gminy i przedsięwziąć bezzwłoczne środki zniesienia krępującej włościan poręki wzajemnej;

zreorganizować zarządy gubernialne i powiatowe, celem wzmocnienia sposobów bezpośredniego zadośćuczynienia różnym potrzebom życia ziemiańskiego przy pomocy prac ludzi miejscowych, kierowanych przez silną a zgodną z prawem władzę, surowo przed nami odpowiedzialną;

za zadanie dalszego uporządkowania bytu miejscowego postawić zbliżenie zarządu gminnego z działalnością dozorów parafialnych przy cerkwiach prawosławnych, tam, gdzie się to wydaje możliwem.

Wzywając wszystkich Naszych wiernych poddanych do pomagania nam w utwierdzeniu w rodzinie, szkole i życiu społecznem zasad moralności, przy których tylko, pod osłoną władzy samowładczej, mogą rozwijać się dobrobyt narodowy i zaufanie każdego do trwałości swoich praw, My rozkazujemy Naszym ministrom i głównym zarządzającym poszczególnymi wydziałami, do których zarządu to się odnosi, aby przedstawili Nam sprawozdanie o porządku wykonania poleceń Naszych.

Oby Bóg Wszechmocny zesłał błogosławieństwo dla Naszych prac Cesarskich i oby pomógł Nam w ścisłem zjednoczeniu wszystkich naszych wiernych synów ojczyzny wykonać Nasze zamysły o urzeczywistnieniu porządku państwowego przez ustanowienie trwałego ustroju życia miejscowego, jako głównego warunku rozwoju państwa Naszego na silnych zasadach wiary, prawa i władzy.

Dan w St. Petersburgu w dniu 26 lutego, roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc dziewięćset trzeciego, a Panowania Naszego dziewiątego.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana ręką podpisano:

„MIKOŁAJ.“

POLITYKA.

IMPERYALIZM I MILITARYZM.

Od końca lutego do środka marca toczyły stronnictwa w Izbie gmin zacięte rozprawy nad siłą zbrojną lądową, jaką rząd mieć chce według planu ministra wojny, Brodricka. „Rozprawy“— wyraz za słaby: stoczono dwie bitwy, jedną na początku, drugą w samym końcu walki (11-go) i w obu rząd odniósł zwycięztwo, w pierwszej przewagą 116, w drugiej— 100 głosów. Irlandczycy stanęli na uboczu. O co im chodziło, tym panom oceanów? Rząd chciał sił zbrojnych jak największych; opozycya zapędy rządu powściągała argumentami oszczędności w wydatkach, a krańcowej tylko konieczności w uzbrojeniach. Rząd, czując wybornie ducha czasu w polityce, wysnuwając logiczne i praktyczne wnioski z zasady imperyalizmu, która stała się już faktem nieodwołalnym, w samą istotę wielkiego państwa brytańskiego wrosłym, dąży do *maximum*; opozycya, z pobudek faktowi przeczących, chociaż wytwarzanych przez normalny rozsądek polityczny, chciała dać rządowi tylko *minimum* najniezbędniejsze: stąd przeciwstawność i walka. A w opozycyi stanęli nie sami tylko liberalni, zobowiązani opierać się rządowi przez to samo, że rządu w mocy swej nie mają, ale i zachowawcy. Z łona ich wydzieliło się czwarte stronnictwo, młodego Churchilla, które tak samo jak liberalni bije w to, że Anglia, mająca wielką flotę, może się już obyć bez wielkiego wojska, a jeśli się jeszcze za słabą czuje, niechaj powiększa flotę, w niej bowiem tylko wyrazić się zdoła rdzenna potęga, obronność i zbrojność państwa. Oba odłamy opozycyi występowały jeszcze w charakterze opiekunów nad klasami opodatkowanemi, w których ostatecznie płaci najwięcej ten, kto indywidualnie ma najmniej, ale wytwarza największą masę w społeczeństwie — lud.

W pierwszej bitwie opozycya zagnała Brodricka do takiego wąwozu, że gdyby nie szybka odsiecz, dana mu przez Balfoura, prezesa gabinetu, byłby sromotnej doznał klęski. Coś podobnego powtórzyło się i w drugiej bitwie, w której jawniej już napadnięto na ministra wojny nie z powodu jakichś 3,000 ludzi rocznie, którymi chce zasilić linię, aby wzmocnić rezerwę, ale z powodu całego planu reorganizacyi armii na sposób europejski bez europejskiej służby powszechnej, do której dziś jeszcze zarówno rząd, jak sejm, jak większość narodu i wszystek lud — ten przedewszystkiem — czuje wstręt nieprzezwyciężony. Już podczas wojny z Boerami w roku 1900 Brodrick wyłożył parlamentowi projekt na wielką skalę obmyślany: nowych sześć korpusów, 3 dla obrony wewnętrznej, trzy do działania na zewnątrz. Według ówczesnych obliczeń, wraz z yeomanry, milicyą średniowieczną konną i wszelkiemi rezerwami, Anglia miałaby przeszło 600,000 wojska. Czyn nie poszedł tak gładko, jak słowo: dziś jeszcze niema całkowitych trzech korpusów z owych sześciu, i o te trzy jeszcze walczyć potrzeba, choć na razie parlament w epoce niepowodzeń, a później walki uporczywej, której końca przewidzieć nie było łatwo, z zapałem powitał marzenie ministeryalne. Reakcya chłodnego rozsądku przyszła wraz z ustąpieniem niebezpieczeństwa i niepewności. Anglik ma nietylko wstręt do służby powszechnej, ale i lęk militaryzmu: sam go tu instynkt prowadzi i wyposaża w argumenty. W monarchii trudno pogodzić militaryzm z wolnością. Anglik nienawidzi pałasza w życiu wewnętrznem, a słusznie obawiać się może, że właśnie wraz z militaryzmem nastanie i panowanie pałasza.

Pobudki rozsądne zapewne i szacowne, ale rozsądniejszą zawsze od największego rozsądku jest konieczność, a argumenta najlepsze z danego stanowiska mogą się okazać najgorszemi, gdy się je z innych stanowisk obejrzy. Ten wzrok dobrze widzi, który ogarnia całość widnokręgu, a takiego wzroku nie dowiodła opozycya w swej walce z rządem. Prawnicy rzymscy mieli przysłowie: *Qui vult nuptias vult et nuptiarum consequentias.* Liberalni chcieli małżeństwa z imperyalizmem, a nie chcą jego następstw, jego koniecznego skutku — militaryzmu. Minęły już niepowrotnie czasy, kiedy Anglia mogła walczyć jakimiś 50 tysiącami żołnierzy lądowych, a resztę wymagań wielkich swoich przedsiewzięć wojennych pokrywać flotą i funtami sterlingami. Państwo w ostatnich czasach tak ogromnie rozrosłe nie stawi czoła niebezpieczeństwu samymi tylko okrętami albo funtami. Dziś wielkie mocarstwo musi mieć i wielką armię lądową, a dla Anglii ta nawet, którą zaprojektował był Brodrick, gdy przyłożymy do niej skalę wielkiego rozrostu terytoryalnego, nie sprostałaby potrzebom, jakie nadciągną z pierwszą wielką burzą dziejową. Będą musieli Anglicy prędzej lub później pozbyć się swego wstrętu do służby powszechnej, swej odrazy do tonacyj rządowych, idących z pałasza, i niezawodnie się pozbędą, jeśli tylko energia ich nie osłabnie, a ideał państwa i panowania nie dozna zaćmienia w umysłach. Militaryzm jest prawem życia wielkich mocarstw. Kto chce być wielkim, musi być silnym, a skądże weźmie siłę, jeśli nie z wojska, utrzymywanego ciągle na wysokości *maximum* tego, co społeczeństwo wydać z siebie może?

Słusznie zawołał Balfour w pierwszej owej bitwie sejmowej: „Pogardzanoby nami, gdybyśmy twierdzili, że żądania ministra są zbyteczne, gdyby i dla nas imperyalizm był czemś nadobnem dopóty tylko, dopóki był nowym i popularnym, gdybyśmy cofać się mieli przed kosztami, które za sobą pociąga, i względowi na te koszta pozwalali urabiać przekonania nasze o tem, czego wymaga interes obrony państwa.“ Tak jest, pogardzanoby, i słusznie. Gdy się żyje, trzeba dbać o życie, a nakaz ten dla państwa jest stokroć silniejszym, niż dla

---

Andrzej Niemojewski.

Ludzie z czwartego wymiaru.

Nocna zawierucha szalała nad miastem. Deszcz lał potokami z czarnego nieba. Co chwila krzyżowały się błyskawice i rozlegał się chór grzmotów, przygłuszając turkot pędzących w dole dorożek.

Ale na czwartem piętrze nie słyszano ani turkotów ziemskich, ani grzmotów niebieskich. Przy lampie, dokoła stołu siedziało trzech studentów i cztery studentki. Uczyli się razem do egzaminów.

Jeden ze studentów wykładał. W jego twarzy nie było śladu rumieńca młodzieńczego, wargi bez kropli krwi, czoło i policzki pokryte połyskliwym potem, ciemne włosy były także lekko spocone, oczy nieco błędne. Prawą rękę uniósł do wysokości twarzy, skupiając wszystkie palce w ów gest wywodu.

Naprzeciwko niego przy stole siedziała studentka, dziewczyna krępa, silna. Oparła twarz na łokciu i słuchała pilnie. Krótkie włosy, opadające na czoło, czyniły ją podobną do chłopca, choć pierś miała silnie rozwiniętą, że pod względem zadatków fizycznych można ją było uważać za wzór przyszłej matki. I z jej twarzy znużenie, a może natężenie umysłowe spędziło wszelki rumieniec. Brwi tworzyły jeden czarny wał. Piwne oczy, wpatrzone nieruchomo w twarz wykładającego studenta, miały w sobie coś szczególnego. Niby wilgotne łzą a mieniące się błyskawicą, rzucały spojrzenie tak proste, że aż niemal kose. Lekka zmarszczka skupienia przecinała w poprzek czoło.

Trzy inne studentki patrzyły również pilnie w twarz wykładającego kolegi. Każda z nich stanowiła odrębny model uwagi. Jedna odchyliła nieco usta, przyłożywszy palec do dolnej wargi. Druga, z ołówkiem w ręku, gotowa była ważne słowo, na które czekano, zanotować. Trzecia, podana nieco w tył, jakby olśniona wykładem, nie oddychała prawie.

Po przeciwnej stronie stołu dwaj studenci słuchali znowu inaczej. Jeden, pochyliwszy się całkiem naprzód, ukrył czoło w obu dłoniach. Drugi, oparty bokiem o stół, wpatrywał się w jeden punkt na podłodze, jak gdyby stamtąd płynął głos mówcy, jak gdyby tam była owa ręka wzniesiona do wysokości twarzy, o palcach skupionych w gest argumentacyi.

A w górze nad nimi, nad dachem kamienicy, przewalał się wicher marcowy, lała się rzeka deszczu. W czarnych oknach ukazywały się niekiedy błyskawicowe upiorzyce, niby zmory, które się podnosiły, zaglądały w okno i znowu nikły.

Ale oni nic nie widzieli, nic nie słyszeli. Nie istniał dla nich cały świat z burzami, ulewami, grzmotami. Nazwali kiedyś żartobliwie swoje czwarte piętro „światem czwartego wymiaru,“ a siebie— „ludźmi z czwartego wymiaru.“

Bo też i dobrali się. Wszystko poddali krytyce, analizie, każdy szczegół urządzeń społecznych, każdą regułę życiową. Jak ów młodzieńczy wicher, który, wybiegłszy z rozgrzanego serca ziemi, z piasków Sahary, jednym pędem chce obiedz glob, wszystko przewiać, wszystko przeniknąć, tak i oni, przerywając od czasu do czasu wspólną naukę, w zawierusze dyskusyi biegli naprzód i naprzód, przewidywali wiek dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi, tam im było jeszcze za ciasno,

jednostki. Jednostka może, i często powinna, życie swoje poświęcić dla wyższego jakiegoś dobra, dla wyższego jakiegoś życia, dla przejmującej całą istotę miłości. Państwo spełnia cel swój i przeznaczenie przez to samo tylko, że żyje; życie jest jego dobrem jedynem, a przeto i dobrem najwyższem; ma ono obowiązek kochać siebie i prawo nie znać żadnego wyższego życia nad swoje własne życie i żadnej wyższej miłości nad swój własny egoizm. Ale też w jego życiu wszystkie cząstkowe istnienia znajdują swoją syntezę, wszystkie cząstkowe miłości składają się na jego egoizm, wszystkie dobra przez jego życie tylko nabierają trwałej wartości — i same jednostki w niem tylko prawdziwie rozwijać się i doskonalić mogą. Jak jednostka bez ciała, tak państwo bez potęgi materyalnej, do walki o byt jakościowo i ilościowo uzdolnionej, istnieć nie może. Gdy wszyscy w świecie się zbroją, gdy powiększanie ustawiczne armii stało się funkcyą powszednią w Europie, w Stanach Zjednoczonych i w Japonii, musi i Anglia wydzielić z siebie wielką siłę lądową i nie poprzestawać na samej tylko flocie. Dzieje nie są złotą jakąś legendą; są ciężkim, krwawym znojem życia pod ustawiczną groźbą śmierci. Jedno tylko hasło w życiu dziejowem obowiązuje: Bądź silnym, a będziesz żywym. To hasło rozumie rząd angielski; zrozumie wkrótce każdy Anglik.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawa reform w Macedonii posuwa się naprzód leniwo; sprawa uspokojenia Bulgarów wraca do punktu wyjścia. Rząd sofijski uwolnił świeżo dwu uwięzionych (Conczew i Jankow) podżegaczy, a komitety miejscowe działalnością swą wyręczają niemogący już jawnie funkcyonować naczelny. Oddziały zbrojne na pograniczu ciągle nękają Turków, którzy skarżą się przed Rosyą i Austryą na główną przeszkodę do skuteczności reform. Szkodzi sobie sama Turcya nieszczerem ich wprowadzaniem: tak w wilajetach Uskübu i Saloniki, wbrew zobowiązaniom nie daje urzędów sędziowskich chrześcianom, a w Kosowskim drobne tylko mniejszości chrześciańskie wchodzą do straży policyjnej. Reorganizacya żandarmeryi utknęła: Niemcy cofają swych oficerów, Porta cofa swych baszów niemieckich. Amnestya, której wygląda 600 upatrzonych, również jeszcze czekać na siebie każe. Prócz Albańczyków muzułmanów burzą się i katolicy o zbezczeszczenie kościołów. Rosya i Austrya ustanowiły konsulaty w Mitrowicy. Wszystko przypomina kocioł parowy, mający wylecieć w powietrze.

W Serbii minister wojskowości zwolennik wojny, Paprykow, podał się do dymisyi, bo nie chciano mu dać pieniędzy na uzbrojenia. Wielki proces byłych ministrów, Iwanowa i Radosławowa, wykazuje tysiączne nadużycia i trwonienie funduszów publicznych.

Poseł radykalny węgierski Justh na obiedzie dworskim wręcz oświadczył Fr. Józefowi, że Węgry nie spoczną, dopóki nie otrzymają armii narodowej. W Peszcie była demonstracya przeciwko ustawie wojskowej, z wybijaniem szyb. Manifestowano też i w Zagrzebiu.

Król Jerzy saski, wyjeżdżając na południe dla poratowania zdrowia wydał manifest, uderzający szczerością. Mówi w nim, że „bolesne przejścia wywołała niczem nieposkromniona namiętność kobiety, oddawna już potajemnie upadłej.“

Wielu bardzo urzędników kolejowych Polaków poprzenosić kazał rząd pruski nad Ren. W Międzyrzeczu major r. Kitzling w imieniu cesarza zapowiedział Niemcom, żeby, wyrzekając się swych przekonań politycznych, wszyscy głosowali na Niemca. Dla „wzmocnienia zagrożonej niemczyzny“ ukuto projekt obdarzenia skarbu głosami wirylnymi przy głosowaniu. W sejmie pruskim ks. Stychel wytoczył sprawę szkół i nauczycieli w Poznańskiem: oburzające nadużycia. Cały głos poselski był wybornie ułożony. Komisya budżetowa uchwaliła dodatki dla gorliwych urzędników w ziemiach polskich, oraz pierwszą ratę na budowę zamku królewskiego w Poznaniu. Mógłby go sobie zbudować Wilhelm II własnym kosztem.

Izba gmin uchwaliła d. 11 b. m. reformę wojskową. Na potrzeby wojska uchwaliła nazajutrz 9,647,000 f. st. Budżet marynarki przewiduje prawie 36 mil. f. st., o 3,202 tysięcy f. st. więcej niż r. z. Mają być zbudowane 3 okręty liniowe, 7 krążowników, 4 wywiadowe (*aviso*), 15 kontrtorpedówek i 10 łodzi podwodnych. Obsługa dochodzi do 127,000 ludzi. — D. 14 b. m. Chamberlain powrócił z Afryki.

Izba francuska uchwaliła d. 10 b. m. budżet na r. 1903, wynoszący w sumie wydatków 3 miliardy 546,500,000 fr. Głosowało za budżetem 371, przeciwko 82, przeszło 100 wstrzymało się od głosowania. Obrady trwały 2 miesiące. Chodziło głównie o owe gorzelnie domowe, do których przywykł wieśniak francuski. D. 11 b. m. odpowiadał p. Delcassé na zapytanie Deloncle'a: w jaki sposób interesy francuskie godzić usiłuje z przymierzem francusko-rosyjskiem w sprawach bieżących? Odpowiedź była płytka. Izba przeszła do porządku dziennego. Ribot radby był żyć z Anglią w dobrym porozumieniu, ale przymierze z Rosyą uważa za kamień węgielny.

D. 12 b. m. rozpoczęły się obrady nad raportem Rabiera o kongregacyach, żądających uznania. Gabinet postawił kwestyę zaufania. Socyalista Sembat zażądał porozumienia się Francyi z Anglią i Włochami dla oddawania wszelkich sporów trybunałowi w Hadze — marzenie! Jaurès w Denain wygłosił potrzebę upaństwowienia kopalni, kolei i rafineryi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Bagno warszawskie.

Gdyby mi przyszło oprowadzać po Warszawie cudzoziemca, pragnącego obejrzeć jej osobliwości, pokazałbym mu przedewszystkiem pewną uliczkę, ognisko zarazy i choroby, a potem warszawskie Towarzystwo hygieniczne, które myśli o wielu rzeczach, nie zwracając najmniejszej uwagi na ten wrzód na ciele naszego miasta.

W samym, matematycznym niemal, a już na pewno kulturalnym środku grodu znajduje się to nasze, warszawskie „Bagno.“ *Nomen omen* — tym razem sprawdza się, niestety, dosłownie. Sama uliczka nie jest ani czystsza, ani brudniejsza od wielu innych, lecz po obu jej stronach znajdują się dwie smutne osobliwości Warszawy, z których jedna nosi dźwięczne miano „Pociejowa,“ a druga — targu Grzybowskiego. Jakie to budzi wspomnienia! Prawda? Wejdźmy więc dla złożenia wizyty Pociejowi. Możemy wejść przez którąkolwiek z wielu bram, wszystkie bowiem, jak drogi do Rzymu, prowadzą do „Pociejowa.“ Oczom naszym przedstawi się nieosobli-

---

biegli dalej, do wieku dwudziestego trzeciego.

I nieraz, gdy późną nocą wracali do siebie, patrzyli ze zdumieniem po ulicach, po domach, po dorożkach, po latarniach, po nocnych włóczęgach. Tak, dziwno im było, że to jeszcze nie ów wiek dwudziesty trzeci, że to jeszcze teraźniejszość. I niekiedy szczególny uśmiech wypływał im na twarze, uśmiech jak pytanie: co my tu robimy na ziemi w tym wieku?..

Tylko, gdy przybywali do mieszkań, zdziwienie zamieniało się niekiedy w gniew. Zwłaszcza u studentek. Ojcowie, matki, ciotki — przyjaciółki ojców, matek, ciotek — cała owa Teraźniejszość dość gwałtownie starała się je otrząsnąć z owego snu „czwartego wymiaru.“ Odgrywały się sceny bardzo przykre; ciotki spazmowały, ojcowie rzucali stołkami, matki płakały, mówiąc o opinii. Ale po dwóch latach burze domowe wyczerpały się, upór młodzieży odniósł zwycięztwo, a kiedy studentki wracały po północy z „czwartego wymiaru,“ witały je już tylko pełne rezygnacyi westchnienia i wymowne spojrzenia; ale z zaciętych ust nie padało ani jedno słowo wyrzutu.

Wszelako i w tym „czwartym wymiarze“ wrzały niekiedy burze, bo dusze nie zestroiły się w dźwięk bezwarunkowej zgody. I tam, w tej kuźnicy, gdzie przekuto w ogniu dysput od świata, gdzie poddano wiwisekcyi każdą myśl — i tam niekiedy zrywała się wichura niezgody, i tam, niby echo, odbijające się o szereg skał, padało słowo — wstecznik!

Rzecz znamienna, że zawsze padało ze wszystkich ust ku jednej i tej samej twarzy, w którą się godzinami całemi wpatrywano z takiem natężeniem, ku tej postaci, która z ręką wzniesioną, z palcami skupionymi w gest wywodu, przykuwała uwagę wszystkich.

Tak, ten student, najstarszy śród nich, najtęższa głowa, który mógł był nietylko w dwudziesty czwarty, piąty, ale trzydziesty wiek porwać za sobą imaginacyę, ba, inteligencyę tego koła, on czasem tak mówił, iż wszyscy zrywali się z miejsc, przyskakując do niego z pięściami. A pierwsza zrywała się ta, która siedziała naprzeciwko, ta o włosach krótkich, opadających na czoło, ta o tym wale brwi, o tej wydatnej piersi, o twarzy surowej i dziwnem spojrzeniu.

Bo on wszystkiemi myślami wyprzedzał ich, tylko myśl jedną trzymał na wodzy, przeciwnie, kazał jej wracać w wiek dziewiętnasty, osiemnasty, szesnasty. To była myśl tycząca stanowiska i zadania kobiety.

Czy głosił takie mniemanie, że pochodził z domu staroszlacheckiego, zamożnego domu wiejskiego i tak przesiąkł patryarchalnem wychowaniem, że wciąż miał przed oczami postać matki, siostry? Czy, że przed wniesieniem się do „czwartego wymiaru,“ którego niebawem stał się wodzem, żył wyłącznie w towarzystwie męzkiem, w którem przez jakiś czas prowadził życie rozwiązłe? Czy też było to coś tak przyrodzonego, jak zazdrość płciowa? Niewiadomo. On, znakomity analityk, umiejący wszystko posiekać myślą swoją i czujący potrzebę tego siekania, on, gdy chodziło o kobietę, był skończonym dogmatykiem. Ilekroć rozmowa potoczyła się na ten temat, zapominał poprostu, że ma przed sobą cztery całkiem nowe „egzemplarze“ kobiece, mówił jak barbarzyniec, widział dla kobiety zbawienie tylko w stanie małżeńskim, każda powinna zostać matką, mieć dużo dzieci, powinna być domowym aniołem, rzymską uniwirą, matroną starej daty...

A gdy tak mówił, kipiało poprostu na czwartem piętrze. Prawda, żądał od mężczyzn tego samego, co od kobiet, żądał dziewictwa, niepokalanej czystości moralnej. To go rehabilitowało. Ale „czwarty wymiar“ nie uznawał wogóle małżeństw,

wy, lecz zato mocno niemiły widok: niezbyt obszerne podwórza zarzucone są rozmaitymi gratami, zgrupowanymi według swego rodzaju: jedno zawalone starymi meblami, drugie żelaztwem wszelkiego gatunku, inne kożuchami, futrami, workami z włosiem, pierzynami i wszystkiem, co zamożniejsza Warszawa od czasu do czasu na śmiecie wyrzuca, a co biedniejsza zniewolona jest niestety kupować. Ale nietylko podwórza są pełne tego śmiecia; w domkach starych i brudnych znajdują się nieprzebrane składy starzyzny, skupywanej po całej Warszawie i przechowywanej dopóty, dopóki nie znajdzie się nabywca na towar. Ideałem urządzeń hygienicznych byłoby bezwarunkowe wzbronienie handlu starzyzną, i należy mieć nadzieję, iż z czasem doczekamy się tego. Zanim jednak ta chwila nastąpi, należałoby ten proceder tak unormować, aby jak najmniej szkody przynosił. Tego o „Pociejowie“ żadną miarą powiedzieć nie można; znajduje się on bowiem w samym środku miasta, w dzielnicy gęsto zaludnionej, jest brudny, cuchnący i niewątpliwie żadnej dezynfekcyi nie podlega. Ile tam chroni się zarazków chorobotwórczych! Ile bakteryj, nienapastowanych przez służbę zdrowia czeka stosownej chwili do rozpoczęcia swej morderczej roboty! To, coby powinno być zniszczone lub gdzieś za miasto wywiezione, konserwuje się starannie w samem sercu miasta, siejąc zarazę, rozwłóczoną przez biedaków, kupujących tę zgniliznę. Gdybyż przynajmniej każdy kawałek podlegał dezynfekcyi, niebezpieczeństwo byłoby mniejsze. A najskuteczniejszym dezynfektorem byłby ogień: należałoby „Pociejów“ podpalić z czterech stron i z dymem puścić. Nie przyniosłoby to żadnej szkody, gdyż pomimo swej pięknej nazwy, „Pociejów“ nie posiada żadnych tradycyj historycznych. Nie ma on nic wspólnego ze starym, historycznym Pociejowem, który wznosił się gdzieindziej i dawno już nie istnieje. W „Opowiadaniach o starej Warszawie“ Gomulickiego czytamy na str. 18: „Pociejów XVII wieku. Pociejów właściwy (bo dzisiejsza targowica żydowska przy ulicy Bagno tytuł ten przywłaszczyła sobie tylko), znajdował się pomiędzy ulicami Senatorską a Nowosenatorską, zamykając tę ostatnią i przypierając murami swymi tuż do prawego boku zabudowań marywilskich.

Szczególnem zrządzeniem historycznej fatalności, nazwisko starej magnackiej rodziny związało się tak silnie z wszelkiego rodzaju tandetą, obszarpanymi chałatami i niechlujstwem, że dzisiejszy Warszawianin wcale już tych dwóch pojęć nie rozróżnia.

A jednak Pociejowie nie mieli nawet pośredniego związku z handlem żydowskim, w czasie bowiem, gdy pałac przy ul. Senatorskiej przerobiono na olbrzymią halę dla Żydów, nie byli już jego właścicielami. Przeróbki tej dokonał w 1785 roku szambelan Stanisława Augusta, Adam Uruski.“

Gdy na początku XIX w. zniesiono właściwy „Pociejów,“ Żydzi, przenosząc się na Bagno, i nazwę ze sobą zabrali.

Nałykawszy się bakteryj na „Pociejowie,“ przejdźmy na targ Grzybowski, po drugiej stronie ulicy. Tutaj oczom naszym przedstawi się połączenie targu artykułów spożywczych z handlem starzyzny i mieszkaniami ludzkiemi. Jatki grzybowskie zasługują na szczególniejszą uwagę naszych hygienistów. Mieszczą się one w trzech rzędach, równolegle do siebie biegnących kramików, oddzielonych wązkiemi tylko przejściami. Kramiki te drewniane, pełne błota, mają ściany nigdy niemyte, ze śladami ociekłej i skrzepłej krwi; na tych ścianach, przesiąkniętych krwią i cuchnących, wiszą ćwierci mięsa. Deski, na których mięso wyłożono do sprzedaży, też chyba rzadko są myte, odznaczają się bowiem odpowiednim brudem. Idąc pomiędzy dwoma szeregami kramików, utyka się co chwila na jakiś ochłap mięsa, walający się na zabłoconym chodniku. Przekupnie tak są brudni i niechlujni (sprzedażą mięsa trudnią się tutaj przeważnie Żydzi), że na sam ich widok ogarnia patrzącego wstręt do mięsa. Stan jatek samych jest wprost rozpaczliwy. Ale nie koniec na tem. Nad jatkami są składy mebli, trzepanych co jakiś czas na gankach drewnianych, biegnących bezpośrednio nad jatkami! Obok tych składów znajdują się, też ponad jatkami, prywatne mieszkania ubogiej i niechlujnej ludności żydowskiej; można więc sobie wyobrazić, co tam nieustannie spada z góry na mięso, zjadane potem przez jego nabywców? Tak jest w zimie, a co tu się dziać musi w lecie, gdy roje much przenoszą się z „Pociejowa“ na targ Grzybowski, a z niemi razem i miryady bakteryj, czychających na zdrowie i życie ludzkie!

Wszystkie wielkie miasta posiadają dzielnice, które im chluby nie przynoszą. Ale znajdują się one nie w śródmieściu, lecz gdzieś na uboczu. Czyż można się dziwić, że służba nasza, kupująca mięso na targu Grzybowskim, nie może pojąć wymagań czystości w kuchni? Takie targi są złym przykładem, szerzącym zgorszenie wśród maluczkich i nieuświadomionych. Zarówno więc z powodów zdrowotnych jak i pedagogicznych należałoby postarać się o jak najprędsze zniesienie „Pociejowa,“ jak również o takie zreformowanie targu Grzybowskiego, aby nie był rozsadnikiem zarazy, niechlujstwa i złego przykładu. Jednem z najpilniejszych zadań jest osuszenie warszawskiego „bagna“ i uzdrowotnienie środka miasta.

Wojciech Szukiewicz.

Listy z Francyi.

Paryż, 14 marca.

Obchód stuletniej rocznicy urodzin Edgara Quinet. — Jego charakter, zasady, idee przewodnie i znaczenie dla Francyi.

Pięć lat temu, w r. 1898, demokracya francuska obchodziła uroczyście setną rocznicę urodzin poety i historyka Micheleta, w roku zeszłym czciła znanego w całym świecie poetę Wiktora Hugo, a teraz składała hołd trzeciemu z nieśmiertelnej trójcy mało jeszcze może znanemu, ale niemniej wielkiemu myślicielowi Edgarowi Quinet.

Obecnie więcej niż kiedykolwiek chwila była stosowną, aby podnieść i uczcić pamięć Quinet'a. Z jednej bowiem strony prawo Falloux, które on już przed półwiekiem zwalczał w Izbie, będzie nareszcie całkiem zniesione, a wychowanie młodzieży zostanie według jego myśli wyzwolone przez jego uczniów i następców ze szponów klerykalizmu. Z drugiej zaś strony w teraźniejszych czasach powszechnego oportunizmu, który obniżył i skalał najszlachetniejsze kierunki, a z dawnych szermierzy postępu uczynił frazeologów, sekciarzy i keryerowiczów, Quinet'a należy stawiać za wzór stałości przekonań, nieugiętego charakteru, nieskazitelnego życia, pogardy dla karyery i wstrętu do ubiegania się o popularność. Wszystkie jego niemal pisma — a jest ich aż 30 tomów — zawierają myśli tak piękne i podniosłe, że można je czytać jak nowoczesne ewangelie, kształcące umysł i rozwijające najszlachetniejsze uczucia człowieka.

---

nie uznawał ślubów. Wolna miłość, miłość niesplamiona żadną przysięgą, niekłamana żadnemi obietnicami solennemi, czysta, bezinteresowna. Mężczyzna ma mieć swój dom i kobieta swój dom. Żyją osobno, jak wolni obywatele. Schodzą się, gdy wezwie ich ku sobie serce. A dzieci? Dwudziesty trzeci wiek da ludzkości tak wspaniałe instytucye macierzyńskie, że wprost obowiązkiem będzie oddawać tam dzieci na wychowanie, obowiązkiem, rozumem i uczciwością.

Ale ten, ten z podniesioną ręką i skupionymi palcami w gest argumentacyi, ten wtedy krzywił twarz sceptycznie, czoło jego jeszcze bardziej połyskiwało potem, uśmiechał się, niekiedy nawet szydził.

Tylko, gdy ze wszystkich stron stołu padało ku niemu jak owe wielogłose echo: „wstecznik—wstecznik — wstecznik,“ czasem poważniał, zaczynał gromić mężczyzn, ich pojęcia, ich nieuczciwość, ich brudne życie płciowe. Wtedy słuchano go znowu, wtedy odzyskiwał władzę, stawał się znowu panem „czwartego wymiaru.“

Właśnie zegar wskazywał północ. Burza nie milkła. Nauka się skończyła, wstano od stołu. Ci, co mieszkali bliżej, postanowili nie czekać końca ulewy, ale iść do domu. Żadna studentka nie pozwalała się odprowadzać. Okryłoby to ją hańbą. Zawsze wracały same. Od rzezimieszków obroni je policya, a nic innego nie może im grozić. Minęły czasy guwernantek, bon, opiekunek. Dwie, trzy, cztery ulice przebiegnie się prędko, deszcz nie przemoczy zanadto; zresztą niepodobna czekać końca tej ulewy, późno, dwunasta godzina.

W „czwartym wymiarze“ pozostał tylko gospodarz, ów student najstarszy, oraz studentka z naprzeciwka stołu, ta tak podobna do chłopca. Mieszkała bowiem na drugim końcu miasta. Wahała się, nie starczyło na dorożkę, buciki miała o bardzo przejrzystych podeszwach, płaszczyk lekki, przewiewny; przemoknie, ziębnie. A najgorsza przeprawa przez most. W taki czas stróże kryją się do bram, policyanci schodzą z posterunków, iść niebezpiecznie. Dziewczyna przykładała twarz do szyb, aby wymiarkować, czy ulewa się zmniejsza. W ten sposób minęła cała godzina.

— Niepodobna iść — rzekła nareszcie.

A jak gdyby na potwierdzenie jej słów, nowa fala ulewy zagrzmiała po dachu, szorowała po szybach.

— Przenocuję u was — ozwała się do studenta.

Ten odparł żywo:

— Służę wam. Rozporządzajcie się jak u siebie. A ja pójdę przenocować do kolegi, naprzeciwko, przez ulicę.

— Głupi jesteś! Nie będę przecież wypędzała ciebie z twego własnego mieszkania tylko dlatego, że mi się nie chce iść i moknąć po nocy.

— Ależ to bliziutko...

— Nie chcę. Poco macie moknąć za mnie!

— Nie zdążę zmoknąć!

— Ale ja nie chcę i koniec!

— Ha, dobrze. Ale pamiętajcie, że sypiam na kanapie. Łóżka nie mam.

— Ja także nie sypiam na puchach.

— To zaraz wam pościelę.

Zakrzątnął się, obrócił wierzch kanapy, która zamieniła się na łóżko, odpasał rzemienie, ułożył na swem miejscu poduszkę, następnie wyjął z szafy czystą bieliznę i zasłał. Wreszcie rzekł do dziewczyny:

— Kładźcie się... dobranoc!

Sam zaś usiadł przy stole tyłem do niej, rozłożył książkę, wsparł głowę na rękach i począł czytać.

(D. n.).

Całe jego życie, wszystkie jego pisma i czyny tchną gorącą miłością prawdy i sprawiedliwości. Przez lat 50 co najmniej wyznawał zawsze jednę i tę samą naukę politycznej i społecznej moralności. Jego przemówienia, listy i dzieła zawsze jedno mają na celu: wytłomaczyć, przekonać, wpoić w umysły i serca głębokie zasady „Praw człowieka.“ Duszą wielkiej rewolucyi — podług Quinet'a — jest to odkrycie, że wolność istoty ludzkiej jest podstawą szczęścia i godności oddzielnych ludzi, jak również szczęścia i godności całych ludów.

„Jeśli jestem czemśkolwiek, — mawiał Quinet — to jestem *un esprit de liberté* i rzeczywiście w tych wyrazach mieści się określenie całej jego istoty, życia i działalności. Z tej przyczyny tak krótko, bo zaledwie od 1841, do 1844, r. pozwolono mu wykładać w Collège de France, choć czarował swem słowem i porywał młodzież, dlatego też przez lat 20 pozostawał na wygnaniu, a wróciwszy nie znalazł dostatecznego posłuchu w reakcyjnej republice pomiędzy 1871 a 1875 r. (daty jego śmierci), dlatego też i dziś jeszcze głuchem milczeniem starają się pokryć jego imię i dzieła.

Dla ludzi, którzy za młodu już się starzeją, lub których słowa nie odpowiadają czynom, Quinet będzie wiecznie wyrzutem sumienia, oni też nie kwapią się wydobyć go z zapomnienia. Quinet bowiem, który chciał, aby podstawą Rzeczpospolitej była cnota i energia moralna, przedewszystkiem sam je uprawiał — w swem życiu nieskazitelnem. Z głębi wygnania mógł on powiedzieć: „Poznałem jedną prawdę, którą chciałbym w was wpoić: największem szczęściem człowieka jest dać dowód swych przekonań. Najbardziej krasomówcze frazesy są pisane na piasku, jeśli nie są poparte życiem.“

A jakże mało jest ludzi, którzyby na schyłku życia swego mogli powiedzieć, jak Quinet:

„Życie ludzkie nie jest takiem, jakiem wy go sobie przedstawiacie; ono nie jest ciągłem chyleniem się od młodości do wieku dojrzałego, bezustannem staczaniem się od wieku dojrzałego do starości. Ja odczuwałem całkiem inaczej swe istnienie. Pierwszy przebłysk stawał się światłem, światło — prawdą, prawda — pokojem i szczęściem. Oto czem były dla mnie epoki życia: ciągłem wznoszeniem się, zbliżaniem do światła.“

Rozpatrując bliżej dzieła Quinet'a, zastanawiając się głębiej nad jego pismami, mimowoli nasuwa się porównanie z Zolą. I on bowiem kilkakrotnie z młodzieńczym zapałem wołał i pisał „oskarżam,“ na swem długoletniem wygnaniu zmężniał, zahartował się, a nie zmalał i nie ukorzył, jak wielu, dewizą jego było: *Sois une conscience* (bądź sumieniem), był nieubłaganym, nieprzejednanym wrogiem klerykalizmu, hypokryzyi i ciemnoty, starał się podnieść godność i samowiedzę człowieka, dążył wytrwale do światła i prawdy.

Dla wielkiej pewności siebie, silnej woli i żelaznego charakteru Quinet, podobnie jak Zola, może być przez ludzi chwiejnych i słabych uważany za ambitnego zarozumialca. Czyż bowiem dla liliputów, którymi świat dzisiejszy jest przepełniony, mogą być zrozumiałe takie jego listy: „Z wszystkiego, com uczył, jestem zadowolony. Żałowałem wtedy jedynie, gdy zmuszony byłem wyrzec się czegoś, lecz nigdy wówczas, gdym czegoś dokonał. Ponieważ zawsze byłem pewny swej woli, nigdy nie zmieniałem później tego, czegom raz zapragnął i co raz przedsiewziąłem. Albo przewidziałem następstwa, albo były one niczem w porównaniu z zadowoleniem, jakiego doznawałem ze spełnienia mej woli....“

Był on daleko więcej nieugiętym, niezdolnym do ustępstw, niż jego najlepszy przyjaciel Michelet, który niejednokrotnie nakłaniał go do nich. Kiedy w r. 1831 Michelet, uważając rękopis Quinet'a p. t. „L'Allemagne et la Révolution“ za niebezpieczny dla niego, ociągał się z jego wydrukowaniem, Quinet napisał list stanowczy, decydujący: „Ta zwłoka, hamująca myśl moją, tyle znaczy, co prawdziwy gwałt.... Latami całemi myślałem nad tem, com napisał w owej broszurze... Jest to me wyznanie wiary, mogę powiedzieć — moja krew. A ty przeciwstawisz mi obawę narażenia swej osoby!...“ I w swych świetnych wykładach w Collège de France o jezuityzmie i ultramontanizmie, i w doskonałej książce „L'enseignement du peuple,“ i przemówieniach swych w Izbie ówczesnej Quinet był daleko śmielszym i wyraźniejszym, niż dzisiejsi radykalni dyalektycy, zmieniający programy i sojuszników stosownie do chwili i osobistej wygody. Jeśliby głos jego był wówczas słuchany, zasady świeckiego wykształcenia i świeckiej moralności byłyby zostały od pół wieku przeszło podstawą praw i instytucyj francuskich.

Lekcye Quinet'a, zwłaszcza ostatnie, długo jeszcze mogą być z pożytkiem czytane zarówno przez młodzież, jak ludzi dojrzałych. Zamiast kantyczek i przykazań nowoczesnych urojonych wielkości, lepiej by było przytoczyć choćby ostatni wykład Quineta p. t. „L'idéal de la Démocratie“, w którym powiada: „Strzeżcie się obniżyć poziom moralności, sądząc, że w ten sposób łatwiej dojdziecie do demokracyi, osiągniecie bowiem rezultat wprost przeciwny. Przyznaję, że mocno obawiam się tych następstw, tej lekkości obyczajów, podniesionej do wysokości wzniosłej teoryi. Chcecie zwyciężyć burżuazyę: nie zaczynajcie od zapożyczenia od niej wad i błędów. Wszystko byłoby stracone, jeśliby dzięki jakimś ułudom nędza moralna bogaczy stała się powabną dla biedaków.

Ja pragnę, ażeby demokracya panowała; oto dla czego żądam od niej cnót najwyższych....

....Powiecie, że wymagam za wiele, że wynoszę pod niebiosa ideał demokracyi, — to prawda. Ale pomyślcie, że należy wznieść go wysoko, by jak pochodnia przyświecał światu całemu.....“

Najlepszym dowodem żywotności i odrodzenia Francyi jest obecnie urzędowe niemal oddanie czci i hołdu wielkiemu Edgarowi Quinet, na którego pogrzeb w r. 1875 ani Izba, ani Senat nie wysłały swych delegacyj. W uroczystości tej przyjęły udział nietylko liczne stowarzyszenia oświaty ludowej, uniwersytety ludowe, loże wolno-mularskie lecz i minister oświaty, oraz sam prezydent Republiki. O teraźniejszej Francyi nie mógłby już Quinet powiedzieć, jak niegdyś w 1831 r.: „Tyś była dla mnie surową matką, jam nie zaznał twych pieszczot.....“

Dr. Józef Zieliński.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Dziwne pretensye.

Od pewnego czasu jesteśmy świadkami ciekawej utarczki. Ksiądz Godlewski, „filar — jak mówi *Głos* — *Kroniki Rodzinnej*, profesor seminaryum duchownego i członek spółki firmowo-komandytowej, złożonej z 28 księży, 3 hrabiów i 1 bankiera,“ wydał pod swojem nazwiskiem dziełko „Prawdziwa różnica pomiędzy nauką kościoła rzymsko-katolickiego a nauką wyznania protestanckiego“; tymczasem *Zwiastun Ewangeliczny* wykrył, że ta broszura jest dosłownym przekładem (nawet z błędami!) niemieckiej pracy F. Schwartza p. t. „Unterscheidungslehre der katholischen Kirche und der Protestanten.“ Na to wyjaśnienie ksiądz Godlewski odpowiedział redaktorowi *Zwiastuna*, księdzu pastorowi Burschemu: „Co p. pastorowi do tego? Doprawdy dziwne pretensye! Pańską jest rzeczą dowieść, żem nieprawdę napisał lub wydał, kto zaś jest jej właściwym autorem, co to pana może obchodzić?“ Osłupiająca logika! poparta nie mniej zdumiewającem objaśnieniem, że koledzy niemieccy „nie gniewają się i swoje pozwolenie chętnie dają“ na podpisywanie ich książek cudzem nazwiskiem. To też ksiądz G. oświadcza, że nie ma zamiaru zmienić swego postępowania; a więc zapewne dla zapowiedzianego, tak „ciekawego“ i pouczającego wydawnictwa, jak „Samobójstwo Lutra“ itp. czerpać będzie dalej z tej samej czystej krynicy własnej pomysłowości i braterskiej uprzejmości niemieckich kolegów, ku zbudowaniu i pożytkowi wiernych.

Drogą zakazu.

W nr. 65 *Gazety Polskiej* w rubryce „Kuryer miejski“ czytamy: „Kwestyę szkodliwości totalizatora wyścigowego, zwłaszcza dla ludzi, którzy pomimo skromnego uposażenia oddają się hazardowi, rozstrzygnął w sposób prosty jeden z przedstawicieli arystokracyi tutejszej, który w rozmaitych gałęziach przedsiebiorstw zatrudnia kilkudziesięciu oficyalistów. Zabronił on urzędnikom swym uczęszczania na wyścigi i tem bardziej gry w totalizatora pod groźbą utraty miejsca.“ A że „prosty sposób“ poskutkował, więc, jak donosi *Gazeta Polska*, w sferze chlebodawców ma znaleźć licznych naśladowców.

Jak to dobrze, że istnieją jeszcze takie „proste sposoby“ powstrzymania ludzi od postępków uwłaczających ich czci, zdrowiu i kieszeni! Można więc mieć nadzieję, że znajdzie się też niebawem równie „prosty sposób“ i na samych chlebodawców, aby nie tracili milionów na różne przyjemności hazardowe i niehazardowe, nie zgrywali się w klubie i w Monte-Carlo, nie demoralizowali sług swoich, nie gorszyli oficyalistów i urzędników życiem rozpustnem, nie obrażali niewłaściwem i godności osobistej każdego uwłaczającem wtrącalstwem w sprawy ich życia prywatnego.

Taki umoralniający „despotyzm“ przydałby się może i sprawozdawcy *Gazety Polskiej*: dałby mu uczuć bezpośrednio, jak smakuje niezależność osobista nawet żebrakowi, wyciągającemu rękę pod płotem.

O szkołę handlową.

Podobno zarząd 7-klasowej szkoły handlowej, mieszczącej się dotąd w domu prywatnym przy ul. Złotej, zapragnąwszy wybudować gmach własny, nabył w tym celu plac w okolicy Walicowa. Jest to istotnie miejsca pod względem hygienicznym niezbyt szczęśliwie wybrane. Gmachy szkolne, jeżeli niezupełnie po za miastem, to przynajmniej należałoby wznosić w okolicach najmniej ludnych, najbardziej przewiewnych, zdala od zakładów przemysłowych a w pobliżu placów pustych i ogrodów. Jak wszyscy wiemy, okolice Walicowa odznaczają się zupełnym brakiem wszelkich powyższych warunków. Nie wynika z tego jednak, byśmy się zgodzić mogli i na inne zarzuty stawiane wyborowi tego miejsca przez zainteresowanych rodziców. Przeciwnie sądzimy, że codzienne ocieranie się o ludność biedną, ciężko pracującą, niezawsze do syta najedzoną, niezawsze odpowiednio do pory roku ubraną, dla dzieci

wychowanych w egoizmie zadowolonych potrzeb i kaprysów, niemających często pojęcia o tem, co to jest głód i nędza, byłoby niezmiernie pożyteczną lekcyą o braterstwie wszystkich ludzi i obowiązkach jednych względem drugich. A grube słowo, które mogłyby nieraz usłyszeć i nieokrzesane obejście, którego mogłyby być świadkami, mniej przyniosłoby szkody ich zdrowiu moralnemu, niż obrazki, które oglądają zazwyczaj na głównych ulicach miasta, po kawiarniach i cukierniach, dokąd zachodzą z rodzicami, a nawet często we własnych domach rodzinnych.

Pomniki.

Są, jak się okazuje, granice, do których sięga uwielbienie Chopina u niektórych naszych pianistów. Na ostatniem posiedzeniu komitetu budowy pomnika w Warszawie twórcy Mazurków i Preludyów, granice tę można była nawet ściśle określić. „Podczas bytności p. Józefa Hoffmana, pianisty, w Petersburgu, gdzie dał sześć koncertów (i tyleż w Moskwie) z ogromnem powodzeniem materyalnem, prezes komitetu, hr. Brochocki, zwrócił się do niego z prośbą, ażeby zechciał albo poświęcić jeden koncert na pomnik Chopina, albo przynajmniej oddać na ten cel część dochodu z koncertów, na których wykonywał wyłącznie utwory Chopina. Powyższa prośba prezesa komitetu pozostała bez skutku.“

Tak brzmi wymowny w swej lakoniczności komunikat prezesa komitetu. Nam jednak, którzy przywykliśmy już nie stawiać wygórowanych wymagań wszelkiego rodzaju śpiewakom i wirtuozom, oświadczenie powyższe nic sprawiło zbyt bolesnej niespodzianki. Przypomniało nam ono natomiast sprawę budowy innego jeszcze pomnika. Oto przed paru miesiącami pp. Maksymilian Białowiejski (Złota 30) i Antoni Sygietyński (Ordynacka 8) otrzymali pozwolenie zbierania do wysokości 2,000 rb. składek na pomnik Adolfa Dygasińskiego. Sprawa ta jednak spotkała się z dziwną obojętnością prasy, a „najpoczytniejszy“ jej organ, *Kuryer Warszawski*, który korzystał tylokrotnie z cennego współpracownictwa Dygasińskiego, nie uznał *dotąd* za stosowne umieścić drobnej bodaj wzmianki o rozpoczęciu zbierania składek na pomnik twórcy „Godów życia,“ mimo że fakt sam ogłoszony został urzędownie, a członkowie redakcyi *Kuryera* zawiadomieni o nim byli i prywatnie. A jednak w gronie ich są podobno i literaci...

Tow. hygieniczne.

Na posiedzeniu wydziału hygieny ludowej z d. 7 b. m. omawiano prawdopodobne zniesienie lub zasadnicze zreorganizowanie warszawskiej szkoły tak zwanych „babek“ wiejskich. Stosunki lekarskie u nas na wsi są wprost opłakane, a niewątpliwie najsmutniej przedstawia się pomoc położnicza z powodu niedostatecznej ilości kobiet, uzdolnionych w tym kierunku do pielęgnowania chorych, projektowane przeto zreorganizowanie lub zniesienie szkoły „babek“ spowoduje bez wątpienia tylko pogorszenie tych stosunków.

Dla naszej wsi odpowiedniejszą, niż wykwalifikowana akuszerka, jest taka prosta wiejska „babka,“ która w ciągu sześciu, a nawet czterech miesięcy nauki wyłącznie praktycznej nabiera dostatecznych wiadomości z zakresu położnictwa, aby z prawdziwym pożytkiem pełnić swe obowiązki! Dla tego jednak potrzeba, aby pochodziła z tego samego stanu, wśród którego pracować będzie, w przeciwnym bowiem razie trudno jej przyjdzie zyskać zaufanie ludu, zrozumieć i odczuć jego potrzeby, a przeto i służyć mu należycie.

Podniesienie cenzusu, przewidzianego przez reformę, odsunie zupełnie kobiety wiejskie od pracy na polu położnictwa. Do nowego instytutu wejdą mieszczanki i Żydówki, od których nie można się spodziewać, ażeby zechciały wyrzec się wszelkich aspiracyj osobistych, zgodziły na życie ciężkie, w graniczących z nędzą warunkach materyalnych, dla względów czysto ideowych. Dla Żydówek zresztą przy najlepszych nawet chęciach, tego rodzaju zajęcie na wsi okazałoby się prawdopodobnie niemożliwe: żadnej babie nie przyszłoby nawet pewnie do głowy zwrócić się w takiej potrzebie do niej. Zamiast postępu mielibyśmy więc gwałtowne cofnięcie się, połączone z nieobliczonemi szkodami społecznemi. Babką wiejską może być tylko kobieta z ludu wiejskiego. Powinniśmy się starać usilnie, aby kształcić ich jak najwięcej, a w tym celu otworzyć im szeroko wstęp do szpitali i przytułków położniczych prowincyonalnych i nie utrudniać warunków egzaminacyjnych. Wydział hygieny ludowej uchwalił wystąpić do Rady z wnioskiem przedstawienia odnośnej władzy memoryału w sprawie utrzymania dawnego charakteru szkoły babek wiejskich w Warszawie.

* * *

Na ostatniem posiedzeniu wydziału przeciwgruźliczego dr. Sokołowski powiedział „kilka słów o ambulatoryach dla chorych gruźliczych.“ Reforma szpitalnictwa w kierunku leczenia chorych tego rodzaju może i powinna przynieść znaczne korzyści, lecz z przyczyn specyalnych ograniczone w stosunku do szerokich warstw ludności. Chcąc podjąć walkę z gruźlicą na wielką skalę, trzeba koniecznie zakładać ambulatorya, na wzór Francyi i Belgii, przodujących obecnie w tej sprawie. Ambulatorya te zwiedzał ubiegłego roku dr. Sokołowski i przedstawił ich organizacyę oraz sposób traktowania chorych.

Rzecz polega na tem, że wielu pacyentów w początkach choroby nie kwalifikuje się do szpitala, gdzie przyjmują tylko ciężko chorych, wielu też nie jest w możności porzucić pracy chlebodajnej. Takim chorym trzeba dostarczyć przedewszystkiem lepszych warunków hygienicznych i możności lepszego odżywiania się, aby chorobę pokonać lub postępy jej sparaliżować i na czas dłuższy odsunąć. Ambulatorya posiadają delegatów, zazwyczaj ex-robotników fabrycznych, znających doskonale warunki swej klasy, którzy, zbadawszy stan rzeczy na miejscu, zdają sprawę z tego, co widzieli. Od tej chwili chory wchodzi pod opiekę ambulatoryum: najpierw pacyent otrzymuje wskazówki zdrowotne, co do czystości, otwierania okien, nieplucia na podłogę itd., a prócz tego zamiast drogich i niewiele wartych lekarstw otrzymuje potrzebne mu pożywienie w postaci mleka w znacznej ilości, mięsa, chleba, a w zimie opału. Następnie opieka stara się uzyskać dla chorego zmianę zajęcia, jeżeli dotychczasowe mogło wpływać korzystnie na rozwój gruźlicy. Fabrykanci, należący do ambulatoryum, chętnie te słuszne wymagania uwzględniają, a to samo nadaje owym instytucyom ogromne znaczenie. Wyżej wspomniani urzędnicy towarzystwa odwiedzają co jakiś czas chorych i pilnują, aby wszystkie przepisy zdrowotne były ściśle przestrzegane. Jeżeli bowiem pacyent do wskazań się nie stosuje, traci prawo do opieki. W cięższych wypadkach towarzystwo wysyła chorych do specyalnych sanatoryów na dokończenie rozpoczętej kuracyi. W znacznej ilości wypadków ta metoda przynosi bardzo dodatnie wyniki.

W zakończeniu referent wyraził życzenie ujrzenia podobnej instytucyi u nas, a sekcya uchwaliła prosić prelegenta o wprowadzenie projektu niezwłocznie na drogę praktyczną. Dr. Sokołowski przyjął powierzone mu zadanie, o ile znajdzie chętne poparcie wśród naszego społeczeństwa.

W sekcyi rolnej.

Na ostatniem zwyczajnem posiedzeniu w sekcyi rolnej, zajmowano się kilku sprawami szerszego znaczenia. Przedewszystkiem omawiano warunki przyszłej wystawy bydła rogatego i nierogacizny w Charkowie, przyczem przewodniczący zachęcał naszych ziemian do wzięcia w niej udziału ze względu na wielkie korzyści, jakie stąd osiągnąćby się dało. Hodowla bydła, jak wnosić można ze sprawozdania delegacyi hodowlanej, weszła u nas na tory racyonalne i zdaje się dobrze rokować o przyszłości tej gałęzi gospodarstwa.

Punktem kulminacyjnym zebrania była jednak praca, odczytana przez red. *Ekonomisty*, p. Maryana Kiniorskiego, a traktująca o naszych gospodarstwach małych i wielkich wobec parcelacyi. Prelegent na podstawie gruntownej znajomości polskiej i obcej literatury przedmiotu, jako też na zasadzie własnych spostrzeżeń dowodził, iż od pewnego czasu własność ziemska rozdrabnia się, a proces ten przyczynia się bardzo dzielnie do wytworzenia całej masy zdrowych ekonomicznie i społecznie jednostek gospodarczych, zmniejszających niebezpieczeństwo groźnych przewrotów i kataklizmów społecznych. Ten sam objaw rozdrabniania się wielkiej własności można zauważyć w Niemczech, z tą tylko różnicą, że tam się odbywa prawidłowo i racyonalnie, gdy u nas przybrało charakter wysoce szkodliwy dla naszego życia ekonomicznego, dla ginącej z powierzchni ziemi wielkiej własności i dla małej świeżo powstającej w niekorzystnych wyrunkach finansowych do ciężkiej walki o byt. Prelegent uzasadnił i rozwinął twierdzenie, że parcelacya u nas nietylko jest objawem nieuniknionym, ale nawet bardzo pożądanym, gdyż daje środki do życia całej masie dzisiaj bezrolnego lub małorolnego ludu wiejskiego, który głodem przymiera lub też emigruje, chociaż jest wybornym materyałem dla kolonizacyi wewnętrznej i umie doskonale gospodarować na dostatecznej ilości ziemi. Gdy wielka własność u nas żyje nad stan, włościanin oszczędza bardzo dużo, i powoli, ale stale pomnaża majątek narodowy, opierając go na pewnem i w dobrych rękach umieszczonem bogactwie. Legenda o nizkim stanie kultury gospodarstw włościańskich jest, według prelegenta, oparta na złej woli lub nieznajomości przedmiotu, ponieważ dzisiaj już jest w kraju naszym bardzo wiele gospodarstw chłopskich o wysokiej kulturze, i stosunki pod tym względem szybko i radykalnie z roku na rok się poprawiają. Piękny swój odczyt zakończył p. Kiniorski wnioskiem, aby społeczeństwo zajęło się zbadaniem istotnego stanu rzeczy i postarało o założenie instytucyi obywatelskiej, mającej na celu uregulowanie parcelacyi i wprowadzenie jej na racyonalne tory.

BADANIA NAUKOWE.

SPOSTRZEŻENIA nad najnowszą historyografią polską.

I.

Prawda w badaniach historycznych

PROFESORA SZYMONA ASKENAZEGO.

Bez względu na różnice zapatrywań na zadania dziejopisarskie, jednoczy historyków wspólność warsztatu i narzędzi roboczych. Warsztatem jest przeszłość, narzędziami roboczemi rozum, intuicya, znajomość i umiejętność zażywania środków technicznych. Zależnie od do-

skonałości narzędzi historycy są genialni i mierni, bystrzy i tępi, gruntowni i powierzchowni. Choć w różnym stopniu, wszyscy są użyteczni, o ile zdobywają i głoszą prawdę. Nie mówię o prawdzie historyozoficznej, o sensie wielkich uogólnień, jak np. prawa, rządzące losami ludzkości, lub pewniki wskazań politycznych. Mam na myśli prawdę gołych faktów, które stanowią rusztowanie wszelkiej syntezy, fundament nauki historycznej.

Kontrola prawdy faktów leży głównie w sumieniu historyka.

Prof. Askenazy, jak każdy inny historyk, ma jakiś cel badań zawodowych. Jak każdy inny, należy do jakiejś kategoryi, według doskonałości narzędzi, któremi się posiłkuje w pracy przy warsztacie przeszłości. Nie chcę rozstrzygać, do jakiego należy rzędu pod względem swych zapatrywań na naukę historyczną. Nie mam zamiaru decydować, do jakiej dałby się zaliczyć kategoryi pod względem uzdolnienia, znajomości i umiejętności zażycia środków roboczych. Poszukuję w nim tylko najelementarniejszej cnoty, wymaganej od każdego historyka, — sumienności w poszukiwaniu i głoszeniu prawdy gołych faktów.

Spostrzeżenia w tym przedmiocie wysnułem nie z ogółu pism prof. Askenazego, lecz z rozprawki p. t. „Odgłosy Targowicy,“ pomieszczonej w książce: *Dwa stulecia XVIII i XIX* (Warszawa, 1901). Nie dlatego jednak wyróżniłem tę rozprawkę z pośród sześciu innych, żebym ją poczytywał za szczególnie nadającą się do charakterystyki autora. Nie wiem, czy jest najgorszą, czy też najlepszą. Zwróciłem na nią uwagę, poszukując materyałów do historyi konfederacyi targowickiej. Studya specyalne dały mi możność skontrolować ją dokładnie, a bez nakładu trudów. Dlatego to użyłem tej, a nie innej pracy prof. Askenazego do oświetlenia jego metody badań historycznych.

* * *

Znak pisarski, zwany cudzysłowem, służy do dosłownego oddania tekstu odnośnego dokumentu. Prof. Askenazy przytacza w cudzysłowie takie wyrażenia i frazesy, których w dokumentach niema. Wspomniawszy np. o korespondencyi króla z Potockim, powiada:

Stanowczą odprawę był dał wtedy Potocki, piorunując na poniżające „niewolnictwo,“ stworzone przez „dzień feralny 3 maja“ (str. 306).

Wyrazów, podanych w cudzysłowie, nie znajduję w liście Potockiego ze stycznia 1792 r. [1]), na który się prof. Askenazy powołuje.

O akcesie króla do konfederacyi targowickiej taki czytamy ustęp:

O przystąpieniu do wspólnego teraz dzieła pospieszył osobiście donieść Potockiemu Stanisław August... Postawił na swojem, wygrał magnat. Skruszyć się, ukorzyć wypadało królowi. W pokornych wyrazach Stanisław August zawiadamia marszałka o swoim akcesie. Upewnia go o swojem niewzruszonem przywiązaniu i przyjaźni, której zawsze, we wszystkich okazyach, jawne dawał dowody, prosi o przywrócenie so bie jego „osobistego zaufania,“ sam przed nim „serce swoje otwiera,“ względem wspólnej odtąd pracy dla dobra kraju porozumieć się pragnie (str. 306—7).

Ile w tym ustępie jest prawdy, dowodzi tekst listu króla do Potockiego z 24 lipca 1792 r., który podaję w całości.

Jako byłem zawsze, tak jestem przywiązanym WPanu, z przekonaniem, że WMPan szczerze ojczyznę swoją kochałeś równie ze mną, lubośmy się różnili w upatrywaniu sposobów jej uszczęśliwienia. A że byłem jednostajnie WPanu sprzyjającym, głośne i zapewne WPanu wiadome w każdej okazyi dawałem dowody. Mniemam więc, że mam prawo do osobistej WPana ku mnie poufałości. Tej ja żądam dla prędkiego i najłatwiejszego uspokojenia wspólnej ojczyzny naszej. A gdy tę mnie okazać zechcesz, upewniam, że we mnie nie znajdziesz żadnej zawziętości przeciwnej powszechnemu uspokojeniu narodu. Że zaś ressentyment osobisty przeciwko nikomu nigdy mną nie władał, rozumiem być niezaprzeczoną od nikogo prawdą. W tej otwartości wynurzając mój umysł, pochlebiam sobie, że pozyskam to dobrochętne WPana ze mną porozumienie (którego gorąco pragnę), bo bez niego dla kraju pomyślnej nie obiecuję pracy.

JPan Ożarowski, kasztelan wojnicki, gdy mi oświadczył, że dąży do WPana, osądziłem, że milego w nim ujrzysz oddawcę listu mego, godnego wzajemnej naszej poufałości. Co wyraziwszy, wszelkich z serca życzę WPanu od Boga pomyślności [1]).

Gdzie tu skrucha i korzenie się? gdzie wyrażenia, podane przez prof. Askenazego w cudzysłowie? Gdzie, wreszcie, dowód, że St. August osobiście zawiadomił Potockiego o swym akcesie? Ależ nie zawiadamiał go o tem osobiście! [2]). Komunikując Bułhakowowi swój akces, żadnego kroku urzędowego nie zrobił względem konfederacyi. Zajął postawę ulegania Rosyi, nie rokoszanom. Nie poddawał się Potockiemu, wzywał go tylko do współdziałania w pracy około uszczęśliwiania kraju. Powagę Potockiego, jako marszałka konfederacyi, bagatelizował, i dlatego ściągnął na siebie jego gniew.

Wszakże (pisze prof. Askenazy) wszystkie te komplementy i czułości (listu króla z 24 lipca) nie osłodziły Potockiemu gorzkiej pigułki, jaką stanowił dla niego nadspodziewanie łatwy i rychły akces królewski. Odpisał krótko, aprobując krok tak chwalebny, upewniając ze swojej strony o życzliwych swoich uczuciach (str. 307)...

Potocki nie odpowiedział królowi *krótko*: list jego z 2 sierpnia w książce Kraszewskiego p. t. *Polska w czasie trzech rozbiorów* zajmuje prawie kartę druku (wyd. pozn., t. III, str. 249—250), chociaż podany jest tylko w wyjątkach. Nie aprobował Potocki w swym liście chwalebnego kroku króla, nie upewniał St. Augusta o życzliwych swych uczuciach, lecz go najzuchwalej zwymyślał, spoliczkował. List jest za długi do przytoczenia, a zresztą zbyt dobrze znany zajmującym się historyą. Tekst ułamkowy czytać można w dostępnej dla wszystkich, wydanej z przedmową prof. Askenazego, cytowanej książce Kraszewskiego. Dodam, że list Szczęsnego wywołał protesty ze strony społeczeństwa. Wyszła broszura p. t. *Kopia listu W. Jana Odrowąża do JW. Potockiego, marsz. konf. targ. z okoliczności pisanego listu z Dubna dnia 2 sierpnia do króla*. Król kopię listu przesłał imperatorowej i skarżył się przed nią na zuchwalstwo Szczęsnego.

Z okazyi drugiego akcesu St. Augusta, z d. 25 sierpnia, prof. Askenazy powiada:

Pospieszył zawiadomić go (Potockiego) o tym nowym dowodzie swej uległości... Z odpowiedzią do króla nie kwapił się marszałek. Rad był jak najpóźniej dać mu przystęp do czynności konfederackich, a więc do wpływania na sprawy publiczne (str. 308, 309).

Ależ, przeciwnie, kwapił się! Odpowiedział królowi listem z 1 września z Szacka na Wołyniu. Przytem dopuścił go zaraz do czynności publicznych, pozwalając mu mianować dwóch komisarzów skarbu koronnego [3]).

Ale dyktator rzplitej... niedługo mógł cieszyć się przyjaźnią prostego, trzeciorzędnego agenta, bez znaczenia, nawet bez przyszłości służbowej, małego radcy kancelaryjnego, dosługującego się w pocie czoła skromnej rangi radcy stanu, skromnego orderu i skromnej emerytury, trzymanego w Warszawie na połowicznym etacie, na tymczasowe potrzeby, a wycierającego w Petersburgu kąty w przedpokojach Potemkinów i Zubowych, jakim był Jakób Iwanowicz Bułhakow (str. 310).

Wiarogodności powyższego wykładu zaprzecza reskrypt imperatorowej z 25 listopada 1792 r., w którym pomiędzy innymi czytamy:

Przebywającego tam (w Warszawie) w charakterze nadzwyczajnego posła i ministra pełnomocnego, radcy tajnego Bułhakowa [4]).

Tylko pensyę Bułhakowa mógł prof. Askenazy jeszcze bardziej zredukować, pobierał bowiem zaledwie 7,000, gdy Stackelbergowi wypłacano około 20,000 rb. [1]).

Wszczął się alarm w Grodnie. W pierwszym zapale porwano się do szabli. Wydano uniwersały na pospolite ruszenie... Odebrawszy niebawem piorunującą reprymendę od Siewersa za uniwersał, czempredzej pospieszył marszałek odwołać zapowiedziane pospolite ruszenie (str. 313)...

Ustęp powyższy prof. Askenazy zredagował na podstawie podręczników szkolnych, które niezawsze przestrzegają ścisłości. Zamiast „uniwersały na pospolite ruszenie,“ powinno być: „uniwersały o gotowości na pospolite ruszenie.“ Czy Potocki odwołał pospolite ruszenie? Niech odpowiedzą na to wyjątki z uniwersału, datowanego 22 lutego 1793 r.

W uniwersale gotowości do pospolitego ruszenia.. ostrzegliśmy.. aby naród, będąc w gotowości, nie zbierał się pierwej i nie zgromadzał, aż ostatnie wici wytknięte zostaną; teraz to ostrzeżenie powtarza z wyrazem: że jeśli jeszcze może mieć jaką nadzieję rzeczpospolita, to zapewne jedynie w wielkomyślności wielkiej Katarzyny pozostała; jej rady odrzucać, byłoby gubić się prędzej. Na miłość tedy ojczyzny obowiązujemy i zaklinamy współziomków naszych, po prowincyach będących: aby przez wzruszenie niewczesne zgonu rzeczypospolitej nie przyspieszyli, aby do pospolitej obrony tym sposobem i wtenczas dopiero się brali, gdy przez konfederacyę generalną przez ostatnie wici ostrzeżeni będą [2])...

Pospolite ruszenie nie było odwołane; wydano tylko uniwersał o spokojności publicznej. Zresztą, Sievers w nocie z 18 lutego nawet nie żądał odwołania gotowości. Domagał się tylko, aby konfederacya zleciła obywatelom zaniechać wszelkich zgromadzeń i czekać nowych rozkazów, jakich wymagać będą okoliczności. Konfederacya zadośćuczyniła temu, wydając uniwersał z 22 lutego.

To są najgłówniejsze uchybienia przeciwko prawdzie, uchybienia w artykule, obejmującym 5 i pół karty druku!

Nie brak jednak i pomniejszych.

Zamiast: Potocki „królował u siebie w Targowicy, Konstantynowie i Tulczynie“ (str. 306), powinno być: w Targowicy, Tulczynie i Konstantynowie, albowiem Szczęsny, zmierzając do Warszawy, nie mógł jechać do Tulczyna na Konstantynów, Zresztą, królował *u siebie* tylko w Targowicy i Tulczynie; Konstantynów nie był jego własnością.

Nie wierzę, żeby król donosił Szczęsnemu, „że rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy“ (s. 308). Nie wierzę dlatego, że Szczęsny w instrukcyi z 9 sierpnia 1792 r., danej delegowanym od konfederacyi do objęcia rządów w Warszawie, polecił pomiędzy innemi odebrać przysięgę od gwardyi [3]). Jakoż odebrał ją nowy komendant garnizonu warszawskiego, Ożarowski, na co król krwawo się użalał przed samym Szczęsnym.

Miałbym do podniesienia dużo jeszcze wątpliwości, czy np. Rosyi „była niezbędną konfederacya targowicka“ (str. 305); czy armia pruska „podążyła w kierunku Warszawy, goniąc przed sobą *bez wystrzału* szczupłe siły polskie“ (str. 313) itp. Niektóre pochodzą z właściwości stylu, grzeszącego brakiem prostoty, zwięzłości i powagi naukowej.

* * *

Do „Odgłosów Targowicy“ autor dodał trzy karty: 1) listów, 2) komentarzy i 3) cytat.

Ogłosił pomiędzy innemi listy Potockiego: jeden do Bułhakowa, trzy do Sieversa; lecz publikacyi tej dokonał bez zachowania reguł wydawniczych. Zamilczał, skąd zaczerpnął materyał; chociaż nic nie sta-

[1]) Cały list podał Popiel: *Powstanie i upadek konstytucyi 3 maja*. Kraków, 1891, str. 64.

[1]) Korespondent warszawski z r. 1792, str. 434.

[2]) W odpowiedzi z 2 sierpnia na list króla z 24 lipca Szczęsny pisał: „Słyszę tu o akcesie WKMci do konfederacyi.“

[3]) Korespondent warsz. z r. 1792, str. 555.

[4]) *Sbornik*, t. 47, str. 469.

[1]) Bułhakow do Bezborodki 18 (29) stycz. 1792 r. (*Sbornik*, t. 47, str. 225).

[2]) Uniwersał ten podały w całości *Roczniki Tow. przyj. nauk pozn.*, t. II, str. 693.

[3]) Kuszewski. Summaryusz czynności konf. gen. targ., pod d. 9 sierpnia. — Ob. także list króla do Glayre'a z 1 września 1792 r. (Mottaz. *St. Poniatowski et M. Glayre*. Paris, 1897, str. 289).

ło na przeszkodzie zaznaczeniu, że oryginały listów Potockiego znajdują się w bibliotece barona Kronenberga. Informacya ta przydałaby się dla ułatwienia ciekawym kontroli.

Przy jednym tylko liście z 2 września prof. Askenazy oznaczył rok, przy żadnym nie podał miejsca datowania. Wprawdzie w tekscie rozprawki wspomniał, że konfederacya we wrześniu bawiła w Brześciu, od października w Grodnie (str. 305); wskazówka ta jednak, zresztą nieścisła, nie wystarcza do oznaczenia miejsca datowania listów. Gdzież był pisany list Potockiego z 2 września? — w drodze do Brześcia, w Szacku! Inne, adresowane do Sieversa, pisane były z Grodna. Wzmiankowany list z 2 września ma w oryginale mylną datę *2 aout*,— o czem nie wadziłoby wspomnieć dla charakterystyki roztargnienia Szczęsnego.

Prof. Askenazy nie zaznaczył, czy wydaje listy w całości, czy też w wyjątkach. Ogłosił wyjątki, lecz opuszczeń tekstu nie zaznaczył choćby kropkowaniem. Taka metoda wydawnicza wprowadza interesowanych w błąd. Są opuszczenia umyślne, zdarzają się i popełnione z pośpiechu. Tak np. w liście z 2 września w 3-m wierszu od końca przed wyrazami „me flatte infiniment" powinno być: „dans Votre lettre;" w liście z 27 lutego w 2-im wierszu od góry po: „la maison de Tepper" opuszczono: „et de Prot Potocki." Z tego wnoszę, że prof. Askenazy kopiuje dokumenty nieuważnie i obywa się bez kollacyonowania. Kto chce z dokumentów ujawnionych przez niego, korzystać, powinien zwrócić się do oryginałów.

Pomiędzy komentarzami znajdują się niepotrzebne, są też informujące błędnie. Za zbyteczną uważam polemikę z Blumem (str. 512), który twierdził, że Sievers, wyjeżdżając z Petersburga, nie był uprzedzony o podziale; za zbyteczną dla tego, że już Sołowiew w dziele, wydanem w r. 1863 (*Istorja padjenia Polszi*), ogłosił najważniejsze ustępy reskryptu z 2 stycz. 1793 r. Deklaracya Buchholtza o wkroczeniu do Polski wojsk pruskich jest, według profesora Askenazego, „zwykle mylnie datowana 16 stycznia" (str. 513); ależ nie mylnie! ta bowiem data, nie inna, umieszczona jest pod jej tekstem [1]). Odezwa Potockiego do wojsk datowaną jest nie 1 stycznia r. 1793 (str. 514), lecz 29 grudnia r. 1792 [2]).

Cytaty bywają mylne, niektóre pomyślane osobliwie.

W cyt. do str. 306: list Potockiego do króla nie jest „bez daty," — lecz ze stycznia 1792 r.

W cyt. do str. 307: list Potockiego do króla nie z 7, lecz z 2 sierpnia.

Osobliwie pomyślana jest cytata do str. 308, która przedstawia się tak:

Król do Potockiego 26 sierp. Bułhakow do Potockiego 25, 27 sierp.

Dla wyjaśnienia genezy tej cytaty przytaczam ustęp z oryginału listu Potockiego z 2 września:

J'ai eu l'honneur de recevoir les deux lettres que V. E. m'a fait l'honneur de m'écrire, *la premiere est du 25 aout par la quelle vous me repondez à plusieurs lettres que j'ai eu l'honneur de vous écrire, la 2-de du 27*, accompagnant celle du Roi et son accès qu'il a daigné m'envoyer...

Z powyższego tekstu prof. Askenazy usunął ustęp, drukowany tu kursywą (ob. str. 511), i przekształcił go na cytatę do str. 308. Mógłby kto mniemać, że cytat pisma Bułhakowa do Potockiego z 25 i 27 sierpnia, gdy w istocie wie o nich tylko z listu Szczęsnego z 2 września. Cytata dotyczy drugiego akcesu St. Augusta; w związku z nim jest tylko list z 27 sierpnia, w którym Bułhakow zawiadamiał Potockiego o dokonanym fakcie i przy którym przesyłał pismo królewskie. A cytowany list królewski z dnia 26-go sierpnia? Datę jego prof. Askenazy wykombinował również z pisma Potockiego z 2 września, i jestem pewny, że samego listu nie widział. Wprawdzie podaje w tekscie treść jego (str. 308), lecz właśnie ta treść naprowadza mnie na wątpliwości. W tym to liście król, według prof. Askenazego, donosił, „że rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy," w co, dla przyczyn, wyłożonych wyżej, nie wierzę.

Cytata do str. 312 powołuje list Byszewskiego z 5 grudnia 1792 r., z którego prof. Askenazy podał w tekscie rozprawki obszerny wyjątek. Należało zaznaczyć, że główny ustęp tego listu ogłosił Kalinka [1]).

Władysław Smoleński.

[1]) D'Angeberg. *Recueil des traitès* etc. str. 297. — Roczniki Tow. prz. n. pozn. II, 674.

[2]) Roczniki Tow. prz. n. pozn., II, 673.

[1]) Ostatnie lata panow. St. Aug., II, 238.

Podłoże cech dziedziczonych.

Wśród walki i ścierania się różnych teoryj, systemów i kierunków, jakie historya filozofii przyrody po dzień dzisiejszy zanotowała, najdawniejszą może, a ze względu na skutki najdonioślejszą niewątpliwie była walka, jaką prowadzili z sobą wyznawcy metafizyki z t. zw. „materyalistami," hołdującymi doświadczeniu i bezpośredniej obserwacyi. Na gruncie biologii zwycięztwo „materyalistów" nad metafizykami ten przedewszystkiem miało skutek, że dla wszystkich bez wyjątku zjawisk, choćby najbardziej zawiłej i nieuchwytnej natury, postarano się odnaleźć odpowiednie podłoże materyalne. Dogmatyczne pojęcie o duszy zostało rozłożone na pierwiastki, a te z kolei uznano za zwyczajne fizyologiczne objawy, mające swe siedlisko w mózgu, w nerwach, w mięśniach itp.

Jak nowoczesna biologia poszukuje podstaw fizycznych przy rozwiązywaniu różnych problematów i zagadnień filozoficzno-przyrodniczych, najlepiej nam wyjaśniają poszukiwania nad sprawą dziedziczności.

Powszechnie znaną jest rzeczą, że dziedziczeniu podlegają zarówno cechy fizyczne, cielesne, jak i psychiczne, duchowe. Widzimy to na każdym niemal kroku, że dzieci podobne bywają do swych rodziców nietylko z oczu, ust, wzrostu, lecz i mowy, upodobań, uzdolnień. To zjawisko uważamy powszechnie za tak naturalne, za tak zrozumiałe, że mało kto zastanawia się nad jego przyczyną, i mało kto je w istocie rozumie. A czyż biologowie także je rozumieją? Jak zobaczymy — niezupełnie, choć wiadomości nasze w ciągu ostatniego dwudziestopięciolecia znakomicie się pod tym względem pogłębiły. Wiemy już przynajmniej, z jakiem fizycznem podłożem związana jest sprawa przenoszenia się cech dziedzicznych z rodziców na potomstwo.

Po raz pierwszy udało się O. Hertwigowi w r. 1875 zaobserwować budzący się do życia w jajku organizm. Obserwacyi tej dokonał on na jajkach jeża morskiego, jako na materyale szczególnie do doświadczeń tego rodzaju podatnym. Jajeczka tego niewielkiego, w kolce uzbrojonego, zwierzęcia przedstawiają drobne kuliste ciałka, zupełnie nagie, niemające z zewnątrz żadnej skorupy i dlatego dające się obserwować bezpośrednio, bez uprzedniej jakiejbądź operacyi. Wystarcza wyjąć z samicy pewną ilość takich jajeczek i umieścić je w szklanem naczyniu (szkiełku zegarkowem) razem z pewną ilością plemników, drobniutkich ciałek, wyjętych z samca. Tak jajko jak i plemnik są to pojedyńcze komórki, czyli okruszyny masy śluzowatej (plazmy), zawierające w swem łonie jeszcze drobniejsze (nieco gęstsze) ciałka, t. zw. jądra. Każda z komórek, a zatem i jajko i plemnik, posiadają po jednem jądrze.

Zobaczymy, jak się jajka i plemniki względem siebie zachowują, i w jaki sposób odbywa się powstawanie zarodka.

Do obserwacyi użyć musimy szkieł powiększających, ponieważ średnica jajka jeża morskiego wynosi zaledwie jedną dziesiątą część milimetra; objętość zaś jednego plemnika, podług pewnych obliczeń, jest 500,000 razy mniejszą od objętości jajka. Ciało plemnika składa się z dwóch części z t. zw. główki kulistej z przodu nieco zaostrzonej i z cieniutkiego, nitkowatego wyrostka, przyrośniętego do główki, czyli t. zw. ogonka. Całość przypomina nieco kijankę, larwę żaby. Te ogonki utrzymują plemniki w ciągłym ruchu.

Pod względem fizycznym przeto zachodzi zasadnicza różnica pomiędzy jajkiem, które jest stosunkowo znacznej wielkości, kuliste i pozbawione wszelkiej zdolności do ruchu, a plemnikiem nadzwyczaj drobnym i bardzo ruchliwym.

Różnica ta jest wyrazem pewnego zróżnicowania komórek płciowych: jajko jest bierne, lecz dostarcza znacznej ilości materyału dla mającego powstać nowego organizmu, plemnik zaś jest w „środki materyalne" ubogi, lecz ruchliwością swoją przyczynia się do aktu zapłodnienia, które z łatwością możemy obserwować.

Z chwilą wpuszczenia do naczynia z jajeczkiem, zanurzonem w wodzie morskiej, kropelki wody z plemnikami, zauważymy, że otaczają one gromadnie jajko, uderzając weń gwałtownie ze wszech stron; wydaje się, że wszystkie one przemocą wedrą się do wnętrza jajka; nic podobnego jednak nie następuje: w jednem tylko miejscu, na obwodzie jajka plazma w kształcie drobnego pagórka, wznosi się nieco ku górze i pochłania jeden plemnik. Ogonek jego, który już spełnił swoje zadanie, odpada, główkę zaś wyraźnie widzieć możemy wewnątrz jajka. Wybrańcem jest zwykle ten z plemników, który zbliży się pierwszy do powierzchni jajka; od reszty tłumnie dońcisnących się ruchliwych komórek jajko „zapłodnione" momentalnie zabezpiecza się występującą na jego powierzchni cieniutką lecz mocną błonką.

Zobaczmy, co się dzieje dalej wewnątrz zapłodnionego jajka. Z początku trudno dość odszukać główkę plemnika, który zagłębił się do plazmy jajka. Po chwili jednak dostrzedz możemy w pobliżu tego miejsca, gdzie powstał plazmatyczny „pagórek," jasną plamkę, promieniującą na wszystkie strony, jak słońce. Jest to właśnie jądro plemnika, otoczone wieńcem delikatnych promieni i posuwające się zwolna od powierzchni ku środkowi jajka — wprost do jądra komórki. Jeszcze chwila — i obydwa jądra — żeńskie i męzkie — stykają się w centrum komórki jajowej, granice pomiędzy niemi giną, aż w końcu, jak dwie bańki mydlane, zlewają się w jedno. Znowu więc mamy przed sobą typową komórkę: kłaczek plazmy z pojedyńczem jądrem. Jakaż jednak różnica pomiędzy tą komórką „zapłodnioną" a pierwotną jajową! Tamta była bierna, do żadnych objawów życiowych niezdolna, ta zaś ukrywa w sobie potężną siłę, która się zaraz objawi rozkwitem nowego życia, powstaniem nowego organizmu.

Zmiany, zachodzące odtąd w łonie komórki jajowej, odbywają się w szybkiem tempie. Przedewszystkiem ulega podziałowi ta promienista aureola, która otaczała jądro plemnika, poprzedzając jego zbliżanie się do jądra jaja. Na powierzchni jedynego teraz jądra występują dwa promieniste snopy, które powoli rozchodzą się po całem jajku; samo zaś jądro, które dotychczas zachowywało kształt pęcherzyka, zaczyna zmieniać zewnętrzną swą postać i zwolna zanikać; zamiast niego ukazują się

podłużne pręgi, końcami swymi opierające się o owe promieniujące na całą komórkę ogniska, które powstały na dwóch przeciwległych biegunach jądra. Za chwilę, jak gdyby pod wpływem zewnętrznego cięcia, cała komórka zaczyna się pośrodku przewężać, wydłużać — i oto już mamy dwie komórki, a w każdej z nich zarysowuje się oddzielne, pojedyncze jądro.

Wszystkie te zjawiska — od chwili wejścia plemnika do wnętrza komórki jajowej aż do ostatecznego podziału jej na dwie nowe komórki pochodne—trwają najwyżej godzinę. Podlegając w ten sam sposób dalszemu podziałowi, pierwsza para komórek wytwarza — cztery, te zaś — osiem, potem szesnaście itd.

Powstająca w ten sposób coraz większa ilość komórek, pozostając w ścisłej ze sobą spójni, układa się w pewnym określonym porządku, jak gdyby podług z góry określonego planu; w ten sposób otrzymujemy nowy gotowy organizm.

Lecz gdzież są te cząstki materyalne, o których wspominaliśmy na wstępie, i które mają być podłożem zjawisk, z przenoszeniem cech dziedziczonych związanych? Ukrywają się one wewnątrz jądra. By tę „materyę dziedziczną“ uwidocznić i dla obserwacyi bezpośredniej dostępną uczynić, trzeba poddać badane komórki działaniu pewnych barwników; po dokonaniu tych dość złożonych manipulacyi, podawanych przez technikę badań mikroskopowych ta „materya“ wyodrębnia się wśród bazbarwnej plazmy i „soku“ jądrowego bardzo wyraźnie i z łatwością pod mikroskopem może być oglądaną. Przed zabarwieniem badane komórki należy zabić, czyli, podług wyrażenia techniki mikroskopowej, „utrwalić“ zapomocą sublimatu, jakiego bądź kwasu itp.

Otóż na okazach jajek jeża morskiego, w ten sposób do obserwacyi przygotowanych i zabarwionych, widzieć możemy wyraźnie, iż jądro komórki jajowej, zapłodnionej nie zanika, jak się to nam przy obserwowaniu okazów żywych wydawało, — lecz przeciwnie, we wnętrzu jego występują bardzo wyraznie do pręg podłużnych przytwierdzone, pewne ciałka pręcikowate; one to stanowią główną zawartość jąder komórkowych, lecz dla swej bezbarwności i przezroczystości na żywych okazach nie mogą być widziane, a występują wyraźnie dopiero po zabarwieniu. Te ciałka pręcikowate noszą nazwę *chromozom* i podczas podziału komórki na dwie pochodne ułożone sąpomiędzy owemi jasnemi ogniskami, które promieniują w dwóch kierunkach.

Połowa chromozom pochodzi z jądra pierwotnej komórki jajowej, druga zaś połowa została wprowadzoną przez jądro plemnika; pierwsza więc jest pochodzenia żeńskiego, druga — męzkiego; widzieliśmy zaś już przedtem, że niezwłocznie po wejściu plemnika do jajka, jądra ich podległy zlaniu się, temu samemu więc losowi uległy i obie kategorye chromozom. Niezmiernie doniosłem jest to spostrzeżenie, że na jądro komórki zapłodnionej w równej mierze składają się chromozomy ojcowskie i matczyne. Lecz jakiż jest dalszy los tych chromozom? Przed podziałem zapłodnionego jajka na nowe komórki widzieć możemy, że każda z chromozom ulega podłużnemu rozszczepieniu na dwie równe połowy, poczem każda z połówek przesuwa się w dwóch przeciwległych kierunkach — ku promieniującym ogniskom (centrosomom); ztąd wynika, że każda z komórek pochodnych otrzymuje równą połowę tych chromozom, które znajdowały się w jajku zapłodnionem. Jeżeli np. jądro komórki zapłodnionej zawierało ich osiemnaście — dziewięć matczynych i tyleż ojcowskich, to po rozszczepieniu się ich na połówki, powstało trzydzieści sześć pręcików chromatynowych, z których osiemnaście udało się do jednego ogniska, i osiemnaście do drugiego. W ten sposób po przewężeniu się komórki pierwotnej na dwie nowe, każda z nich zawiera taką samą ilość chromozom, co i komórka jajowa, mianowicie osiemnaście, w czem jest dziewięć pręcików matczynych i tyleż ojcowskich. W ten sposób odbywa się podział chromozom na równe połowy i przy dalszem rozmnażaniu się komórek — stale z tą samą dokładnością i prawidłowością, tak że każda komórka ciała zwierzęcego zawiera taką samą ilość chromozom, jaką można zaobserwować w jajku pierwotnem.

Ta właśnie część składowa jąder komórkowych, która stanowi chromozomy, czyli t. zw. chromatyna uważana jest obecnie za podłoże, przenoszące na potomstwo cechy rodzicielskie. Okazuje się, iż dla każdego gatunku organizmów istnieje określona, stała ilość chromozom, zawartych w komórkach. Tak np. jeż morski posiada ich 18, glista końska— 4, jodła 16, człowiek tyleż, ślimak sadowy — 24, dżdżownica — 32; dla niektórych zaś organizmów ilość ich przewyższa setkę. Ta stałość ilościowa chromozom zawartych w komórkach roślinnych i zwierzęcych nie bywa nigdy naruszoną. Już to jedno dowodzi pewnej zależności cech gatunkowych od określonej ilości (stałej) chromozom, ukrytych we wszystkich komórkach całego ciała, i *a priori* przypuszczać każe, że pomiędzy chromatyną, a cechami gatunkowemi, podlegającemi dziedziczności istnieje pewien związek przyczynowy. Przypuszczenie to zostało uzasadnione przez wyniki otrzymane na drodze doświadczalnej. Przedewszystkiem wymienić tu należy doświadczenia Boveriego. Wiadomą jest rzeczą, że potomstwo otrzymane z rodziców, należących do dwóch różnych gatunków, czyli t. zw. mieszańce wykazują pewną część cech odziedziczonych po matce, inną zaś — po ojcu; cechy te, jako właściwe dwu odrębnym gatunkom, łatwo dają się odróżnić. Jeżeli więc to zjawisko zależy od tego, że jajko zapłodnione przez plemnik innego gatunku i dające początek nowemu, mieszanemu organizmowi, zawiera w równych częściach chromozomy matczyne (jednego gatunku) i ojcowskie (drugiego gatunku), to w takim razie, gdyby z takiego nienormalnie zapłodnionego jajka udało się nam usunąć sztucznie chromatynę np. matczyną, to musielibyśmy otrzymać nowy organizm z cechami wyłącznie ojcowskiemi (dostarczonemi jajku przez plemnik). Że tak się dzieje w istocie — dowiódł właśnie wymieniony badacz — Boveri. Już przedtem bracia Hertwigowie utrzymywali, że jajko jeża morskiego, sztucznie pozbawione jądra, może zostać zapłodnionem.

Postępując podług wskazówek Hertwigów, Boveri zapłodnił jajko jeża morskiego jednego gatunku (pozbawione jądra), plemnikiem drugiego, i rzeczywiście wyhodował larwę (Pluteus) z cechami wyłącznie ojcowskiemi. Z tego doświadczenia można jednak jeszcze wyprowadzić inny wniosek.

Ponieważ, jak wiemy, każda komórka (a za tem i jajko i plemnik) w jądrze swem posiada zwykle stałą ilość chromozom, więc w jajku zapłodnionem musi ich istnieć ilość podwójna, i wszystkie komórki wytworzone drogą podziału otrzymują również podwójną ich ilość (gdyż przed każdym podziałem chromozomy ulegają rozszczepieniu). Jeżeli więc z jajka zapłodnionego usuniemy jego własne chromozomy (wraz z jądrem), to komórki powstające podczas rozwijania się zarodka będą zawierały o połowę mniej chromozom, niż każda z komórek ojca albo też matki, mimo to w danym wypadku zarodek odziedziczy wszystkie cechy ojcowskie; skąd wypływa, że dla odziedziczenia wszystkich cech rodzicielskich wystarcza połowa masy chromatynowej, zawartej w jądrach komórek rodziców. To samo stwierdzonem zostało przy t. zw. sztucznej partenogenezie, kiedy za pomocą pewnych środków podrażniających zdołano pobudzić jajko do rozwoju bez zapłodnienia, czyli bez udziału chromozom ojcowskich. Dowiedli tego amerykańscy badacze J. Loeb i E. B. Wilson.

Cóż jednak nastąpi, jażeli z jajka niezapłodnionego usuniemy pewną ilość istniejących tam chromozom (matczynych)? Czy i w tym wypadku rozwinie się cały normalny organizm? I na te pytania doświadczenia Boveri dają odpowiedź.

Usuwając zapomocą bardzo dowcipnie obmyślonych sposobów z jaj, rozpoczynających swój rozwój, pewną część (jedną lub kilka chromozom) chromatyny, otrzymywał on organizmy młode mniej lub więcej potwornej budowy; jednym np. brakło zupełnie układu pokarmowego, inne pozbawione były szkieletu, jeszcze inne posiadały różne organy w różnym stanie teratologicznym, albo też wcale pewnych niższych faz rozwoju nie przekraczały. Stąd wyprowadzono wniosek, że każda z chromozom, albo ich kombinacye przeznaczone są do wytworzenia pewnych określonych organów lub systemów. Zaznaczyć tu jednak należy, że inni badacze wykazali na drodze tych samych doświadczeń, że takie zróżnicowanie chromozom nie istnieje. Sprawa ta ściśle się wiąże z toczącym się jeszcze dziś sporem pomiędzy tak zw. preformacyą i epigenezą, a rozwiązanie go oczywiście należy do przyszłości, jak od przyszłości oczekujemy rozwiązania problematu dziedziczności, ciążącego od wieków nad umysłami biologów i filozofów wogóle.

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

Konrad czy Hamlet?

—•—

II.

Gdy Konrad, który opuścił nas przed półwiekiem, powraca na swą ziemię, szuka i znajduje przedewszystkiem poezyę. Szuka tej wielkiej, którą nam zostawił, i która była, a przynajmniej być miała, życiem samem. Lecz tej nie znajduje. Spostrzega, że dziś wszyscy umieją *paplać* poetyckie słowa, że „byle jakieś słowa i byle jak złożone wystarczają, by przeciętne umysły nastroić poetycznie, wskutek czego straciliśmy wiarę w słowo.“ „Wszystko — mówi — co wam daje wasza poezya, jest plotką, z którą się nie walczy. Poezyę uważają u was jako pół prawdy, jako rzecz, w którą się nie wierzy, której się nie ufa... Poezya zaś jest artyzmem, artyzm zaś ma swoją logikę i nieodwołalność i jest całą prawdą, jeśli jest... Inna prawda jest niepotrzebna.“ Czyli to, co słyszeliśmy od Gospodarza w „Weselu“:

> a ot co z nas pozostało:
> lalki, szopka: podłe maski,
> farbowany fałsz, obrazki...

Nic więc dziwnego, że energiczne zakończenie mowy Gospodarza:

> Nastrój? macie ot, nastroje:
> w pysk wam mówię litość moję!

odnajdujemy tutaj w szyderstwie Konrada z Maski XIII-ej: „Cha! cha! cha! Bierz kruż! Do studni, do studni, dalej, precz; pleć, pleć; noś tę wodę, lej potoki, kaskady, pluskaj! Bierz kruż, dalej! *Danaidy! Danaidy!*“

Współczesną poezyę polską przedstawia Wyspiański pod symbolem Harfiarki, któ-

ra staremu Ojcu wydaje się odzianą w strój pychy ze złocistych szarf, Synowi — przeciwnie — w zgrzebną koszulę; która przebiega drogę ludziom, idącym ku przeczystej krynicy czynu, zatrzymuje ich swą pieśnią, przypominającą, że była przecie „służką u ołtarza,“ i przykuwa do siebie, umiejąc uderzyć w ton *tęsknot* każdego, tęsknot do rodzimego kąta, do modrego stawu i jednocześnie do jakichś bojów i wichrów. Ta ostatnia tęsknota tonie w nastroju innych, cała gra Harfiarki — jest *nic* — jest opium do snu.

Tęsknota, melancholia... Kto — jak Muza-aktorka np. — pod wpływem Geniusza Narodu nie paple poezyi, lecz odczuwa ją głębiej, ten znów lubuje się w pięknie schyłkowem—iskry dogasającej, ostatnich chwil skonu, kresu doli, pół-dźwięków i pół-szeptów. Natchnione nauki wieszczów dawnych jedni — jak Przodownik, jak Kaznodzieja, jak Mówca — pozamieniali na czcze frazesy bez żadnego zastosowania do życia rzeczywistego; kto zaś tego nie zrobił, ten wysnuwa z nich naukę schyłkową przeniesienia zadań bytu w zaświaty, teoryę, która nęci swą poetycznością. „Można zwyciężyć tam — tam — kędy nie sięgnie żadna dłoń, żadna żelazna ręka...“ I upajają się tą „Chrystusowością posłanniczą, tą ideą męki krzyżowej i odkupienia przez mękę.“ Tak to najlepszych upaja Sztuka. „Sztuka głosi Śmierć, bo cóż szczytniejszego nad Śmierć? Ta jest wielkością w naszem wszystkich wiar pojęciu i wszechczasów i ta wielkość daje.“ Podsuwa więc nam ona Posłannictwo „piękne i zabójcze, które szczytem jest i kresem, początkiem Nieśmiertelności i Śmiercią.“ Sam Geniusz Wielkości, ten symbol marzeń, z jednej strony skarży się na „powszedniość pospolitą, która bije taranem w jego kościół,“ z drugiej, gdy już swą cichą a władną mową uwięził duchy, cóż do nich mówi? Głosi im posłannictwo śmierci — czyli życia jakiemś życiem transcendentalnem, nie takiem, jak żyją inni — sąsiedzi.

> Czegóż wy chcecie, czego z ziemi,
> żądzami żarci niesytemi?
> Czegóż wy chcecie, czego z roli,
> oracze nędzy, marnej doli,
> niewolne duchy wrosłe w ziemi?
> O innym, lepszym świecie wiem!
>
> Wywiodę was nad groby łez,
> byście nikczemność widząc ciała,
> ujrzeli okiem żywem *Kres*:
> Śmierć, która cuda działa!..
> Byście do Boga podnieśli człowieka,
> Śmierci ślubując przymierze

Przeciwko tej poezyi buntuje się zmartwychwstały Konrad — przedewszystkiem przeciwko tym, którzy snują ideał „z mgieł oparnych, z łąk, złotego tęczy lęku, w znaczącem załamaniu rąk i spojrzeń głębi,“ a zarazem umieją przywłaszczać sobie prawo chowania pod korzec myśli innych, uciskania myśli świeżych, nowych... Nawiasem tylko notujemy tę tak trafną wycieczkę (w rozmowie z Maską V-tą) przeciw bezpańswowemu mesyanizmowi krakowskiemu... Przeciwko tej idei samounicestwiania się, niepożądania tych dóbr ziemskich, które mają inni, buntuje się Konrad. Z jakim palącym sarkazmem zapewnia Maskę VI-ą, że gdy pójdzie za nim gromada, on ją powiedzie do Kościoła umarłych i „zamkną się za nimi zawory sklepień podziemu—i pomrą—wyzwoleni!“ Bo czyż są inne świątynie, do których powieść by ich można? Kiedy jednak to właśnie zrobić chciał Geniusz, Konrad zgromił go, zwyciężył, wygnał, *tej* poezyi krzyknął, że jest tyranem, i zapowiedział, że „przez pierś jej socha przejdzie rolna, przez serce orka — płużny miecz!“ Bo on jest Edypem, który ośmielił się zdemaskować tego Sfinksa.

Konrad nie chce dłużej frazesów; zamiast frazesów lepiej już, żeby „każdy siedział w swoim kącie z zamkniętą gębą — i *był*.“ Konrad nie chce już więcej czczych, uroczych tęsknot, lecz — czynu; on chce kośby, którą opisuje w przecudnym, słońcem przepojonym obrazie:

> chce widzieć, słyszeć, tężyć słuch.
> jak z *kwiatów spada kwietny puch*,
> jak lęk i groza kosi łan
> wśród ciszy pól i gór
> *na chleb* na przyszły rok —

choćby miał „potrącać mogiłę co krok.“ On nie chce upajania się haszyszem jakiegoś posłannictwa, dla którego trzebaby wyrzec się samych siebie i żyć już tylko w grobach wawelskich. Ba! On nawet wymarzenie sobie ideału bytu, prześcigającego wszystkie dotychczasowe formy ustrojowe uważa (w rozmowie z maską XI) za jedną z odmian tego haszyszu: bo być wtedy dopiero — znaczy tyleż, co nigdy. On chce tego poprostu, co jest wszędzie, tego, co mają inni — „a będziemy co najmniej tacy, jak inni.“ Konrad stał się praktycznym. Rzekłbyś, że czerpał z mądrości nowej szkoły „racyi stanu“ i „egoizmu narodowego,“ tak do ziemi zniżył swój lot — usiłując, przyznajmy, jednocześnie stanąć na niej mocną nogą. Sądzę, że tak należy rozumieć ukazanie się Konradowi na zakończenie jego wahań — własnego ogniska domowego. Prosił Boga: „daj to, co mają inni!“ I dostaje dom własny — podstawę „czynu rzeszy.“ Tu koniec jego błąkania, jego udręczeń. Hestia, bogini ogniska domowego, zdejmuje mu z czoła znamię trudów, „by był jak ten, co nie pamięta, przez jakie przeszedł ciernie dróg“—i uzbraja w pochodnię, która umie nietylko rozgrzewać, ale i *niszczyć*, na walkę z upiorem przeszłości i zatrutych marzeń nadziemskich, który nie umie cenić „marnych, nizkich progów“ rzeczywistości.

Ale pomimo to nie należy, o! nie należy sądzić, że Konrad naprawdę wyzwolił się z uścisków tego upiora. Śmierć i dla niego jest czemś najszczytniejszem. On to nawet, co uważa za swe zadanie: przerobienie duszy ogółu — i w tym celu przedewszystkiem swojej — to *wyzwolenie* — ubiera w nazwę śmierci, aby mu dodać tajemniczej wielkości. „Przyjmij do wiadomości— mówi np. do Maski X — że wyzwolenie przez śmierć można mieć nietylko na drodze samobójczej. Jest to zabić siebie... *siebie, tego który jest*“ — oczywiście aby stąd powstało inne, nowe ja. I chyba o tym rodzaju śmierci jest mowa z Maską XVII, kiedy Konrad oświadcza, że „każdy jego krok jest krokiem ku śmierci.“ Samo użycie takiego właśnie symbolu, samo pojęcie wyzwolenia ideowego, które jest śmiercią— śmiercią naszej obecnej duszy, w przeciwstawieniu do zwalczanego, wyszydzanego pojęcia śmierci (w podziemiach przeszłości albo w zaświatach mrzonek mniej lub więcej mesyanistycznych), któraby być miała wyzwoleniem, świadczy o tem, jak potężny wpływ na tego Konrada zachował jeszcze duch tragiczny poezyi mesyanistycznej. Pod wpływem tego ducha występuje w nim szereg sprzeczności, targających jego umysł i serce. Pod tym oczywiście wpływem oddaje on się idealizacyi narodowej, przeciwko której jednakowoż wymierzył ostrze swej ironii. Konrad buntuje się nietylko przeciwko frazesom patryotycznym, ale przeciw — śmiałość wielka! — przeciw patryotyzmowi, przeciw „niewoli patryotyzmu“ (rozmowa z Maską XVIII) — wiemy już jakiego: takiego, który usypia; Konrad twierdzi, że „my mamy za wiele poczucia solidarności narodowej, że niepotrzebnie wyrabiamy w tylu ludziach poczucie narodowości, a oni, nie mając charakteru, nie wiedzą, co z tem począć i kapitulują“— kapitulują przed złą częścią narodu, za którą dobra nie powinna być odpowiedzialna, tylko ją powinna silnie wziąć w ręce; a jednocześnie szermuje (przeciw Masce XII) jakiemś skrajnie nacyonalistycznie zabarwionem pojęciem rasy, „czystej krwi narodu,“ którą psuje jakoby i poniża najmniejsza domieszka krwi obcej... Rasa to przecież tak szlachetna, krew tak wyjątkowa, że Konradowi aż w natchnionej modlitwie o — byt wyrywa się taki okrzyk:

> O Boże, wielki Boże!

Ksiądz Kamiński Sienkiewicza — wspaniała skądinąd postać — gdy na pogrzebie pana Wołodyjowskiego odbębnił sobie capstrzyk na ambonie, w zupełnie podobny sposób wołał do Pana Zastępów: „Ty, dla którego nic nie jest na świecie zakryte, Ty wiesz najlepiej, że nie masz nad naszą jazdę! Która Ci, Panie, tak skoczy, jak nasza skoczyć potrafi? Takich-że obrońców się pozbywasz?..“ To mimowoli nastręczające się zestawienie wskazuje, w jak odległych warstwach przeszłości wyidealizowanej tkwią niektóre korzenie duchowości Konrada. Pomimo wszystko, łączy go jakieś dalekie, dalekie pokrewieństwo — z Karmazynem. Krew szlachecka nie zawodzi...

Kiedyindziej znów szydzi z nacyonalizmu i wyłączności kulturalno-narodowej; bo za cóż innego można wziąć tę skromną a zjadliwą uwagę w nawiasie:

> Nas przecie Szekspir nie poruszy,
> bo najmniejszego nie miał wcale
> pojęcia naszej polskiej duszy. .
> to przecie tę mu wytknę wadę,
> że nie polskiego nie wymyślił...

(D. n.)

K. Krauz.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

J. A. Kisielewski: *Ostatnie spotkanie*, tragikomedya w 5-ciu aktach (wesołego dramatu p t. *W sieci* część wtóra).

„Ostatnie spotkanie“ p. Kisielewskiego jest może nietyle — jak chce autor — „częścią wtórą“ wesołego dramatu p. t. „W sieci“, do czego zabrakło wprost materyału i wątku, ile raczej zajmującym i z właściwym temu autorowi rozmachem skreślonym epilogiem głośnej jego sztuki poprzedniej, epilogiem — powiedzmy — wydłużonym nadmiernie wskutek wielomówności swego twórcy i jego zamiłowania do dzielenia się z widzem całkowitym rezultatem swej jednostronnej nieco obserwacyi, skierowanej głównie, jak i w sztukach dawniejszych, do różnych szczegółów i drobiazgów, do akcesoryów życia, a nie do jego treści zasadniczej.

Za słabą stronę *W sieci* uważaliśmy w swoim czasie możliwość pewnych nieporozumień co do postaci głównej bohaterki, nazywanej wytrwale przez *Kuryery* „szaloną Julką.“ Szaloną, a przynajmniej pełną temperamentu, fantazyi i porywów artystycznych chciał ją mieć, zdaje się, i sam autor, chciał za jej pośrednictwem spoliczkować cały ów „tramwaj mydlarsko-burżuazyjny“, w którego zatęchłej atmosferze giną talenty i dusze, a stworzył przedewszystkiem typową histeryczkę, w której zdolności i powołanie wyższe wierzyć się poprostu przestaje, widząc, jak ona — z miłością w duszy dla Jurka i dla wielkiej sztuki — daje się sprzedać pierwszemu lepszemu z brzega i pociesza się jeszcze myślą, że w nowej atmosferze potrafi nietylko żyć, ale malować i tworzyć. Prawdziwie wielkie, żywiołowe talenty przezwyciężają na swej drodze wszystkie przeszkody, ale przecież chyba nie w taki sposób, a prawdziwie buntownicza dusza, jaką miała być, lecz, według nas, nie została Julka p. Kisielewskiego z części pierwszej dramatu, nie dają się poprostu, jak pierwszy lepszy sprzęt, zapakować do kuferka i wysłać pod adresem jakiegoś poczciwca w rodzaju sędziego Rolewskiego, choćby nawet ojciec pożyczył od niego drugą jeszcze i trzecią setkę guldenów, a matka z siostrzyczkami urządziły drugą i trzecią scenę zwykłego w takich razach „dramatu rodzinnego.“

W Julce z części pierwszej jest coś niedociągniętego i połowicznego, i to coś pozostało w niej i w epilogu, gdzie — przyznać trzeba — autor pozostał zupełnie wierny zarówno bohaterom swoim, jak i samemu sobie. A jednak, biorąc rzeczy tak jakoś poprostu, ze stanowiska uczciwości życiowej, po pierwsze — z miłością w duszy dla poetycznego Jurka nie sprzedaje się ciała prozaicznemu, choć poczciwemu Rolewskiemu, a powtóre, popełniwszy już nawet ten prawdziwy „błąd“ życiowy, zawarłszy przez niedoświadczenie czy lekkomyślność małżeństwo takie i doszedłszy do wniosku, że się w niem nietylko nie może znaleźć samej zapomnienia chociażby, lecz co więcej, że się przez nie poprostu unieszczęśliwia innego człowieka, mówi się do niego jak najprędzej: „Przebacz, oszukałam cię, ale dłużej trwać w kłamstwie nie mogę. Jesteś dobry i uczciwy, ale ja ciebie nie kocham, więc razem żyć nie możemy...“

Lecz podobnie jak w części pierwszej dramatu Julce p. Kisielewskiego zabrakło siły do pójścia przez życie na przebój, tak w części drugiej zabrakło jej odwagi cywilnej do tej właśnie szczerości względem siebie samej i męża, choć miała jej dosyć na eskapadę maskaradową, przedsięwziętą pod jego nieobecność chwilową. Artystką nie została i zostać nie mogła, nie dla braku odpowiednich warunków zewnętrznych, przeciwnie — w części drugiej ma aż nadto czasu i swobody; lecz poprostu dla braku tej wyższej siły wewnętrznej, która jest pierwszem znamieniem istotnego talentu i pcha do tworzenia w warunkach najgorszych, pozwalając chwilami chociaż zapomnieć o nich zupełnie. Zamiast oddać się z zapałem malarstwu, woli leżeć w łóżku do południa lub urządzać typowo-histeryczne sceny służącej albo Bogu ducha winnemu mężowi, który w części pierwszej był śmiesznym może, ale przynajmniej kochającym mocno i szczerze, a w drugiej — w zestawieniu zwłaszcza ze swą miłą małżonką — zdobywa coraz większą sympatyę widza, jako smutna ofiara jej nieuczciwości życiowej, gorszej o wiele od zwyczajnej zdrady małżeńskiej, która może być czasem wynikiem chwilowego uniesienia i szału.

Nie przeczę bynajmniej, że taka Julka jest w życiu całkiem możliwa; każdy z nas mógł typ taki spotkać. Idzie mi tylko o to, że nie jest ona tem, czem ją mieć chciał autor, a z nim część prasy, przeceniającej stale wartość sztuk p. Kisielewskiego. Nie jest jakąś ofiarą stosunków społecznych, talentem, zagłuszonym przez tyranię otoczenia, lecz jedną z tych shisteryzowanych kapryśnic, niewiedzących dobrze, czego właściwie chcą, i mających do całego świata żal i pretensyę za rzekome zmarnowanie iskier, które żarzyły się kiedyś na dnie ich dusz, a wygasły naprawdę z własnej ich winy przeważnie. „Zabiliście we mnie człowieka!“ — woła Julka do matki, usiłującej ją doprowadzić do opamiętania po scenach histerycznych, urządzonych bez przyczyny mężowi, ale naprawdę tego „człowieka“ zabiła ona przedewszystkiem w sobie sama, a wymowną pod tym względem jest choćby ta przyjaźń jej gorąca z panią Stanisławą z Podlipskich Gorecką, zwyczajną kokotą salonową, istotą bezduszną, doprowadzającą na zimno do samobójstwa zakochanego w niej do szaleństwa Serbę.

W „Ostatniem spotkaniu“ są — powtarzam—sceny zajmujące, jest kilka postaci, znanych już zresztą z poprzednich sztuk Kisielewskiego, lecz wzbudzających wciąż jeszcze pewne zainteresowanie, dzięki bijącej z nich prawdzie życiowej, lecz brak poprostu materyału na całość artystyczną, mającą wypełnić wieczór w teatrze, a sam pomysł urządzenia spotkania głównych bohaterów dramatu na jakiejś drugorzędnej maskaradzie, wydaje nam się chybionym i sztucznym, obliczonym na parę grubych dosyć efektów i przedłużenie sztuki o dwie odsłony. Skąd pewność, że taki Jerzy Boreński, dusza niewątpliwie wyższa i subtelniejsza, poszedłby istotnie, nawet w ostatni wtorek karnawału, do jakiegoś „Orfeum“ na bezimienne zaproszenie nieznanej maski w kostiumie Siebla? „Ostatnie spotkanie,“ które Julka urządziła aż na maskaradzie przedmiotowi pierwszych swych uczuć, jak gdyby chcąc skorzystać czemprędzej z przypadkowej nieobecności męża, równie dobrze mogło się odbyć w o wiele naturalniejszych warunkach we własnym jej domu, lecz wówczas—nie byłoby dwóch aktów ostatnich z takimi ważnymi czynnikami, jak przebrani Eskimowie, Murzyni, Chińczycy, damy z półświatka itd., nie byłoby melodramatycznego spotkania z mężem, niepoznającym własnej żony w przebraniu i pytającym naiwnie Boreńskiego, czy to „coś lepszego, mężatka.“

Zachwycał się ktoś rzekomą pięknością miłości Jerzego i Julki. Na mnie scena, w której napół już pijana kobieta upija się do reszty szampanem z młodym suchotnikiem i rzuca się z nim w wir szalonego tańca, wywiera wprost wstrętne wrażenie. Prawdziwej miłości nie trzeba chyba takich nadzwyczajnych podniet maskarodowo-alkoholicznych: największe nawet uniesienie wypływa w niej z jakichś innych, bezpośredniejszych i ostatecznie szlachetniejszych źródeł, obchodzi się bez szału maskaradowego i spienionych strumieni wina.

Ostatni utwór p. Kisielewskiego daje wogóle obszerne pole do zarzutów. Są w nim miejsca, wybornie podpatrzone z rzeczywistości, są postacie i sceny pełne życia, ale, jako całość artystyczna, czy to rozważany osobno, czy nawet w związku ze sztuką, której ciąg dalszy stanowi, nie wytrzymuje surowszej krytyki i jest stanowczo najsłabszy z dotychczasowych utworów utalentowanego autora „Karykatur,“ któremu przedwczesne trochę wawrzyny nie pozwalają, niestety, wydobyć się jakoś ze szczupłego koła tematów i postaci. Lecz zamiast mnożyć zarzuty, o które w tych warunkach nietrudno, wolimy raczej podnieść znakomitą wprost grę większości artystów, występujących w „Ostatniem spotkaniu.“ Pierwsze miejsce należy się wśród nich p. Frenklowi, który w drugorzędną właściwie figurę Rolewskiego tchnął tyle ciepła i prawdy, tyle siły, nie komicznej wcale, lecz — głębiej rzecz biorąc — dramatycznej wlał w jego wybuch, skierowany przeciw artystkom, emancypantkom itd., że podniósł tę postać na takie wyżyny, na jakich nie spodziewał się jej zapewne ujrzeć sam autor. Pani Siemaszkowa miała w nowej sztuce zadanie trudniejsze, niż we „W sieci,“ gdzie, bądź co bądź, łatwiej było o wiele zdobyć dla Julki sympatyę widza. Szczerość jednak, stanowiąca najważniejszy czynnik jej wielkiego talentu, zrobiła i tu swoje. Julka jej ma i w „Ostatniem spotkaniu“ wspaniałe chwile i każe zapominać o ułomności samej postaci. Wybornym w roli Boreńskiego jest p. Roland, a z innych artystów zasługują jeszcze na wyróżnienie panie Niewiarowska i Przybyłko (ta ostatnia zastąpiła z powodzeniem p. Siennicką, pierwotną wykonawczynię roli Stanisławy Podlipskiej w pierwszej części dramatu), oraz pp. Śliwicki, Wolski i Wostrowski, odtwarzający doskonale różne strony dekadentyzmu w życiu i sztuce.

Wł. Bukowiński.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Gaz. Kaliska* donosi, że koloniści Niemcy, zamieszkali w gub. Kaliskiej, emigrują do Poznańskiego na grunta ofiarowane im przez komisyę kolonizacyjną.

— Z powodu wzmagania się nędzy wśród robotników w Krakowie prezydyum miejskie postanowiło utworzyć „stacyę pracy“, gdzie każdy zgłaszający się robotnik otrzymywać będzie świadectwo, uprawniające do zajęcia się pracą przy oczyszczaniu miasta, z płacą 60 centów w lecie, a 55 w zimie. (*Gaz. Pols.*).

— Komitet jubileuszowy Maryi Konopnickiej na zebraniu z d. 13 b. m. ogłosił sprawozdanie ze swej działalności. Z pozostałej po opłaceniu kosztów obchodu sumy 18,295 koron postanowiono zakupić „własną chatkę“ i ofiarować ją jubilatce w imieniu komitetu lwowskiego.

— *Kijewskoje Słowo* podaje wiadomość, że z gub. Wołyńskiej i Kijowskiej wyjedzie do Poznańskiego około 100,000 kolonistów niemieckich.

— Zecerzy w Rzymie zaprzestali pracy, żądając ośmiogodzinnego zajęcia i podwyższenia płacy o 20%. Zmowa prawdopodobnie skończy się porażką, gdyż z południa Włoch przybywają współzawodnicy, godzący się na pracę w dotychczasowych warunkach.

— Podjęto zamiar oddania pod zarząd miejski wszystkich szpitali, pozostających obecnie pod opieką warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej.

Z Poznańskiego. Urząd heroldyi w Berlinie postanowił sprawdzić rodowody wszystkich rodów szlacheckich polskich.

— *Schles. Volksz.* donosi, że wszyscy urzędnicy, noszący nazwiska polskie, lub posiadający krewnych Polaków, mają być przesiedleni z Poznania w głąb Niemiec.

— Bytomski związek hakatystowski domaga się od prezesa ministrów rozciągnięcia systemu germanizacyjnego i na Śląsk Górny, w celu ukrócenia ruchu polskiego.

Szkoły i wychowanie. Zarząd m. Warszawy postanowił podnieść w r. 1904 płacę nauczycielom szkół miejskich. Na ten cel przeznaczona została suma 15,150 rubli.

— Na mocy przepisów, prośby o dopuszczenie do egzaminów dojrzałości w gimnazyach i ostatecznych w szkołach realnych powinny być podawane na $2^1/_2$ miesiąca przed początkiem egzaminów. Z tego powodu ostateczny termin podawania podobnych próśb oznaczono na d. 14 kwietnia, po którym prośby przyjmowane nie będą, przesyłane zaś pocztą po tym dniu pozostaną bez skutku. Ostatecznym terminem podawania próśb do egzaminów ze znajomości wykładów którejkolwiek klasy gimnazyów męzkich i szkół realnych oraz gimnazyów żeńskich, będzie dzień 23 kwietnia, prośby zaś podawane osobiście lub nadesłane pocztą po tej dacie nie zostaną uwzględnione. Prośby o dopuszczenie w maju jednocześnie z uczącymi się, do egzaminów wstępnych we wspomnianych zakładach szkolnych nie będą wcale przyjmowane przez zarząd okręgu naukowego, ponieważ, na mocy ustaw średnich szkół, przyjmowanie uczących się zależy od ostatecznego postanowienia rad pedagogicznych. Podania o przyjęcie do szkół, przesyłane pocztą, nie będą uwzględnione.

— Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, że kobiety, wstępujące do instytutu położniczego na praktykę, dla uzyskania świadectwa akuszerki 1-go rzędu, obowiązane są zdawać egzamin ze znajomości kursu nauk pierwszych 4-ch klas gimnazyum żeńskiego. Egzamin zdawać należy w porządku, przepisanym dla kandydatów do szkół felczerskich, w gimnazyach lub progimnazyach męzkich, albo też w komitecie egzaminacyjnym przy biurze warszawskiego okręgu naukowego.

— Zawiązało się „Towarzystwo prywatnego gimnazyum realnego w Zakopanem.“

— Związek młodzieży polskiej, kształcącej się w Austryi, uzyskawszy zatwierdzenie statutów, zamierza zwołać do Lwowa zjazd w celu utworzenia towarzystwa p. n. „Ogniwo.“

Kursy wakacyjne dla kobiet w uniwersytecie krakowskim rozpoczną się w r. b. 23 czerwca i będą trwały przez miesiąc. Rozszerzony i pogłębiony, w porównaniu z dawniejszymi, program zapowiada następujące wykłady: I) w dziale historycznym: 1) prof dr. Ulanowski: „Rozwój klas społecznych w Polsce“ (5 godz.); 2) dr. St Kutrzeba: „Dzieje parlamentaryzmu i ustroju w Polsce“ (10 godz.); 3) dr. Grabski: „Podstawowe zagadnienia społeczno - gospodarcze“ (17 g.); 4) dr. W. Czerkawski: „Zaludnienie Polski w czasach nowożytnych od XVI w.“ (10 g.); 5) dr. W. Tokarz: „Dzieje wojny rosyjsko-polskiej 1830/1 r.“,

(4 g.); 6) prof. dr. Czermak: „Podział historyi Polski na okresy" (4 g.). II) W dziale prawnym: 1) prof. dr. Ulanowski: „Wstęp do wykładów z zakresu nauki prawa" (1 g.); 2) dr. J. Makarewicz: „Podstawowe zasady prawa karnego i ich ewolucya" (4 g.); 3) dr. M. Roztworowski: „Podstawowe zasady prawa międzynarodowego" (5 g.). III) w dziale literatury sztuki i językoznawstwa: 1) prof. dr. M. Zdziechowski: „Idea Mickiewicza na tle filozofii i literatury XIX w." (9 g.); 2) dr. F. Kopera: „Dzieje sztuki romańskiej w Polsce" (z ilustracyami świetlnemi) (10 g.); 3) dr. A. Mazanowski: „Wskazówki do nauczania literatury polskiej" (10 g.); 4) dr. K. Nitsch: „Wskazówki do naucz. jęz. polskiego" (10 g.); 5) prof. dr. Rozwadowski: „Somarologia" (6 g.).

Wiadomości naukowe. Międzynarodowy kongres matematyczny odbędzie się w r. 1904 w Heidelbergu.

Ze sztuki. Z pośród 27 prac, nadesłanych na konkurs witraży do kaplicy Szafrańców na Wawelu, uznano za równorzędne cztery, między które rozdzielono nagrody w następujący sposób: trzy pierwsze otrzymały po 200 koron, czwarta — 150 k. Autorami projektów są pp.: Fr. Mączyński, E. Trojanowski, J. Czajkowski i S. Fabijański. Praca p. Mączyńskiego ma być wykonana na Wawelu.

— Wystawa sztuki w Düsseldorfie przyniosła w roku ubiegłym milion marek czystego dochodu.

— W Monte Carlo odsłonięty został pomnik Hektora Berlioza.

Literatura i prasa. W Poznaniu rozpoczęło działalność Towarzystwo dziennikarzy i literatów polskich. Głównem zadaniem tej instytucyi ma być popieranie niezamożnych lub schorzałych współpracowników.

Sprawy ekonomiczne. Tow. rolnicze siedleckie zawiadamia, że w celu wykształcenia praktycznego dozorców robót melioracyjnych, postanowiło urządzić w r. b. odpowiednie kursa, które odbędą się w Międzyrzecu od 15 kwietnia do 30 maja. Kandydaci obowiązani są umieć czytać i pisać pracować przy robotach melioracyjnych akordowo, zarabiając na własne utrzymanie. Uczestnicy otrzymają z rąk członka delegacyi łąkowej, wyznaczonego na opiekuna kursu, płacę za dokonaną robotę, według cen praktykowanych w danej okolicy. Dni słotne, oraz od południa świąteczne poświęcone będą pogadankom robotników z technikiem. Pogadanki obejmują zasady nauk o terenie, obznajmienie z przyrządami niwelacyjnymi, ogólne pojęcie o systemach nawadniania i osuszania łąk, drenowania pól, o stawach rybnych, budowaniu grobli, mnichów, śluz i upustów, gleboznawstwo praktyczne, systematykę praktyczną roślin łąkowych, rachunkowość w zakresie robót grabarskich itd. Po upływie terminu miesięcznego technik łącznie z członkami delegacyi wydaje zdolnym robotnikom świadectwa dozorców. Robotnikom bardzo zdolnym wydawane będą premia jednorazowe, nie przywyższające 10 rubli.

— Komitet taryfowy postanowił zniżyć opłatę na przewóz węgli z Dąbrowy do Kalisza, aby tym sposobem wyrugować z tego miasta węgiel śląski.

Koleje i komunikacye. W celu ułatwienia bezpośredniej komunikacyi ze Wschodem, ustanowioną została taryfa za wynajęcie pociągu osobowego nadzwyczajnego z Warszawy lub Wierzbołowa. Opłata wynosić będzie po 2 rb. od pociągu i wiorsty na całej przestrzeni aż do Mandżuryi, dalej zaś o 50% drażej.

— Zarząd kolei Nadwiślańskich postanowił, ażeby nieodebrane rzeczy podróżnych, na równi z przedmiotami zgubionymi lub zapomnianymi, po upływie określonego terminu, sprzedawane były na licytacyi, a dochód stąd osiągnięty przeznaczony będzie na kasę emerytalną kolejową.

Katastrofy. Na stacyi Końskie, odnodze kolei z Koluszek do Skarzyska, dzień po dniu wykoleiły się dwa pociągi osobowe. Kilka osób otrzymało ciężkie obrażenia na ciele.

— W Aszu i Graslitzu, w Czechach północnych, dało się uczuć czterokrotne lekkie trzęsienie ziemi, połączone z hukiem.

— W Montrealu, na rzece św. Wawrzeńca, zapalił się nowozbudowany parowiec. Setki widzów przyglądały się pożarowi z dachu sąsiedniego magazynu: dach runął, 10 osób poniosło śmierć na miejscu, kilkadziesiąt zostało ciężko ranionych.

— W górach Kruszcowych, w Vogtlandzie, Plauen-Reichenbach i Zwinau powtórzyło się trzęsienie ziemi i falowanie gruntu.

— Od d. 9 b. m. trwa wybuch Wezuwiusza, niepokojąc okolicznych mieszkańców.

— Cała dolina Mississipi została zalana wylewem rzeki. Utonęło kilkunastu ludzi. Straty materyalne olbrzymie.

— Pod Oleanem, w stanie Nowojorskim, urwała się część pociągu i pędząc po stromym spadku uderzyła w wagon - cysternę, napełniony naftą. Wynikł stąd pożar, który zwabił mnóstwo ciekawych. Niespodziewanie nastąpiła eksplozya. Płomienie palącej się nafty oblały widzów, przyprawiając o straszną śmierć kilkadziesiąt osób, a o ciężkie rany znaczną liczbę, gdyż odłamki rozerwanej cysterny pokaleczyła tych nawet, którzy zdala przypatrywali się katastrofie.

Zmarli. Józef Witkowski, nauczyciel języka polskiego w gimnazyum męzkiem w Łomży.

— Tomasz Bilek, historyk czeski, autor „Dziejów reformacyi," „Dziejów Czech po bitwie białogórskiej" i in.; w 83 roku życia w Pradze.

— Ernest Legouvé, nestor literatury francuskiej, członek Akademii; w 96 roku życia, w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Wojno. Można dostać początek. Całość stanowi 5 zeszytów. Kto ma ostatni może nabyć 4 pierwsze dopłacając 1 rb. 70 kop.

Z. K. Drukować nie możemy. Talentu nie dostrzegamy.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Марта 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.